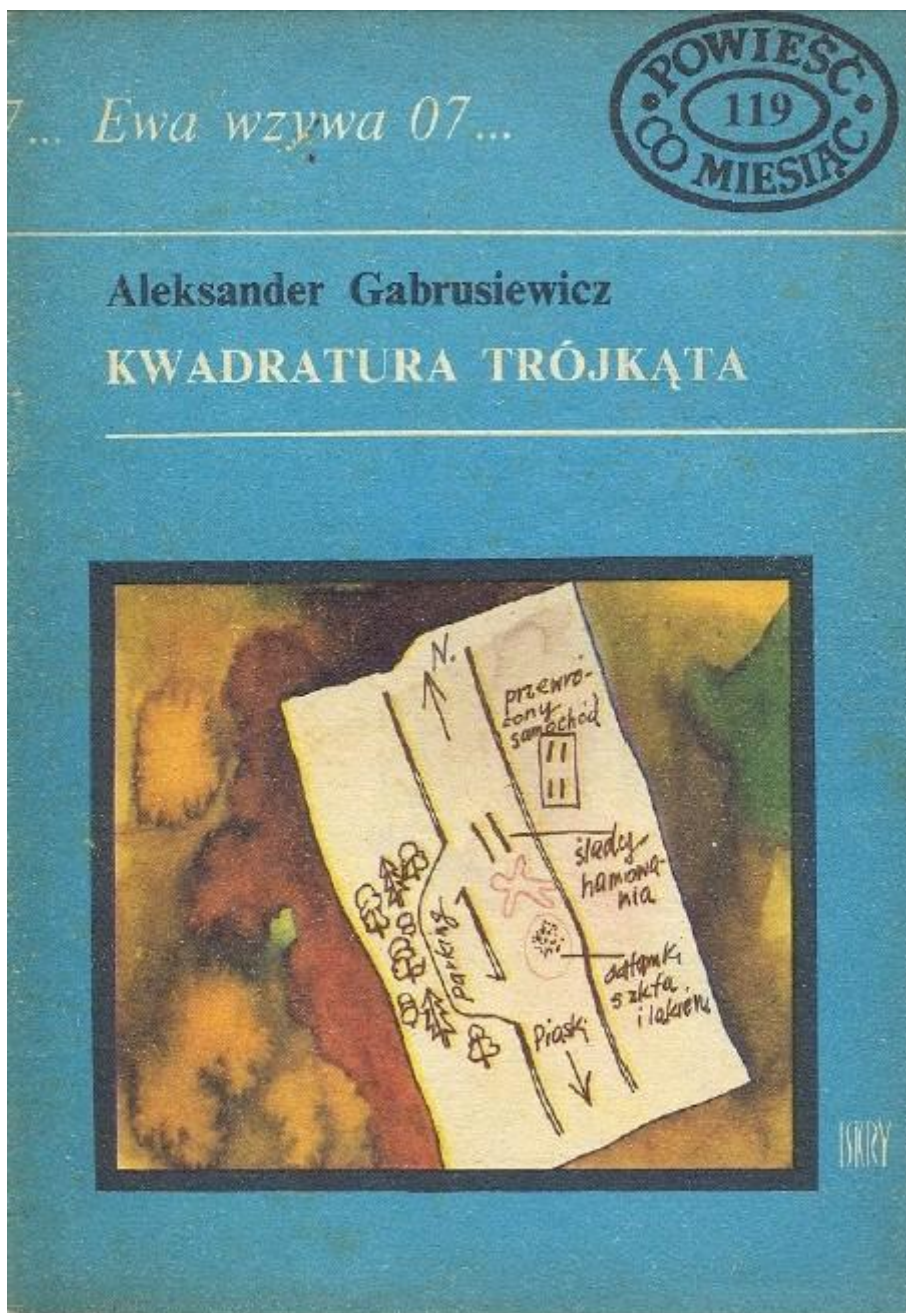


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07.

Aleksander Gabrusiewicz

Kwadratura trójkąta



Mgła leżała nad miastem, co o tak późnej porze roku — pod koniec października — nie było zjawiskiem szczególnym. Głos sygnaturki kościelnej z trudem przebijał się przez tę gęstą węgę; brzmiał głucho i nienaturalnie.

Dochodziła dziewiąta wieczór. Doktor Wiślicki kończył pokolacyjną herbatę i przeglądał w gazecie program telewizyjny, a jego żona Ewa pilnowała w łazience ablucji swej parki: sześciolatniego Januszka i czteroletniej Marty. Marcie trzeba było pomóc przy myciu, a chłopiec, jeśli nad nim nikt nic stał, skutecznie markował mycie, tłumacząc, że ma „wodowstręt”. Próżno tata — lekarz tłumaczył mu, na czym polega ta choroba, przestrzegając przed kontaktem z zarażonymi wściekłą zwierzętami. Dla Januszka „wodowstręt” brzmiał jednoznacznie.

Doktor właśnie wstał, by włączyć telewizor, . kiedy odezwał się dzwonek telefonu. Wiślicki był ordynatorem na oddziale położniczym tutejszego szpitala i późne telefony stanowiły rzecz normalną.

— Ja odbiorę! — krzyknął do żony, która już wychylała się z łazienki.

— Dobrze, bo mam, mokre ręce. Telefon stał w przedpokoju.

— Halo, czy doktor Wiślicki? — spytał kobiecy głos, gdy podniósł słuchawkę.

— Tak, słucham.

— Dzwonię z oddziału, pielęgniarka dyżurna. Panie doktorze, z Ponińską spod czwórki jest coś niedobrze, zdaje się, że ma zapaść.

— A gdzie jest lekarz dyżurny, doktor Kwacz?

— Wyskoczył do domu na kolację, a przedtem mówił, że zepsuł mu się telefon, więc nie wiedziałam, co robić i pozwoliłam sobie... -

— No, w porządku. Dobrze pani zrobiła, zaraz tam będę.

Kiedy wkładał w przedpokoju buty, żona prowadziła dzieci w piżamkach do ich sypialni.

— Co, znowu idziesz na oddział?

— Tak, stan jednej z chorych jest tam niedobry. Muszę zobaczyć, bo Kwacz wyszedł.

— Kwacz? — zdziwiła się pani Ewa. — Zawsze taki sumienny...

— Nic wielkiego, mieszka nie opodał, za kwadrans wróci.

— Tylko nie siedź długo. W nocnym kinie jest dziś film z Marilyn Monroe.

— Wezmę samochód, będzie szybciej.

Do szpitala nie było daleko, samochód stał na dworze, bo w garażu, obok willi Wiślickich, remontowano drzwi.

Ciekawe — myślał w samochodzie lekarz — co też Ponińskiej mogło się stać? Dziś rano czuła się zupełnie nieźle.

W szpitalu, na schodach, pierwszym człowiekiem, na którego natknął się ordynator, był lekarz dyżurny — Kwacz. Schodził na dół, gdzie mieściła się stołówka dla personelu.

— O, już wróciłeś?

— Niby skąd?

— Nie byłeś w domu, na kolacji?

— Gdzież tam. Zawsze podczas dyżurów jadam w stołówce, właśnie tam idę. Żona twierdzi, że to zdrowo, bo potem bardziej mi smakują jej posiłki.

— A co z Ponińską?

— A co. ma być?

— No przecież miała zapaść!

— Skąd, nic o tym nie wiem.

Ordynator zostawił zdumionego Kwacza na podeście schodów i klnąc pod nosem pognął na górę. Lekarz dyżurny pokręcił głową i wrócił również na oddział.

W dyżurce pielęgniarek, która mieściła się w specjalnej wnęce pośrodku korytarza, w głębokim fotelu siedziała siostra Lucyna Czerwińska zagłębiona w lekturze „Przyjaciółki”. Druga pielęgniarka, korpulentna blondyna, układała na tacy strzykawki i ampułki.

— Dzwoniła pani do mnie?! — ostro zwrócił się ordynator do siostry.

Niebieskie oczęta zaokrągliły się jak spodki.

— Skąd, panie ordynatorze!

— A pani?

— Nawet nie podchodziłam do telefonu — odpowiedziała druga z dyżurnych siostr. — Najpierw podawałam leki. potem pomagałam przy kolacji, a teraz szykuję się do zabiegów.

— To co, do cholery, za kawały! A Ponińska w porządku?

— Oczywiście, nawet brała dolewkę zupy.

— Zobaczę. Nikt z tego aparatu nie dzwonił?

— Owszem, jedna pacjentka. Dzwoniła do męża.

— Słyszała panie rozmowę?

— Ja słyszałam. — Lucyna nie wiadomo czemu uśmiechnęła się, z czym „miss szpitala” (jak nazywała ją męska część personelu) było bardzo do twarzy. — Powiedziała mężowi, że od porodu już go nie kocha. Ale przecież one wszystkie tak mówią.

— No dobra. Zajrzę do tej Ponińskiej. Po chwili był już w sali numer cztery.

— Dobry wieczór, jak się panie czują?

W oczach dłużej leżących pacjentek odmalowało się zdziwienie na widok ordynatora o tak niezwyklej porze.

— Dziękujemy, panie ordynatorze, nieźle.

— Ja to nijak spać nic mogę — poskarżyła się korpulentna kobieta spod okna. Wszyscy lekarze ją znali z tej dolegliwości, bo wysypiała się przez cały dzień.

— Dobrze, dostanie pani tabletkę. A pani? — zwrócił się do Ponińskiej.

— A, tak sobie. Ale na ogół nieźle. Tylko jedzenie słabe, a ja apetyt mam, panie ordynatorze.

— Cóż poradzić, takie stawki żywieniowe. Niech mąż coś poda.

Ponińska zapłonila się.

— Panienką, niestety, jestem. A mama na nogi słabuje, nie dojedzie do miasta.

— No cóż. dobranoc paniom.

Wiślicki nawet nie zauważył, że asystowali mu Kw-acz i siostra Lucyna.

— Co to za idiotyczne kawały — denerwował się ordynator — tak mnie zrobić w konia!

Opowiedział im przebieg wypadków.

— Wygląda na to, że ktoś cię chciał z domu wyciągnąć — po chwili namysłu rzekł Kwacz. — Na twoim miejscu wracałbym jak najprędzej.

— Cholera, może masz rację. Cześć, bywajcie. ' Po chwili był już przy samochodzie. Gdy otworzył drzwi i usiadł za kierownicą, uderzyło go dziwne pochylenie do przodu karoserii. Wysiadł i sprawdził przednie koła; obie felgi dotykały ziemi. Było ciemno, więc po omacku ręką sprawdził jeden wentyl. Ani nakrętka, ani właściwego wentylka.

Rany boskie, Kwacz miał rację! — pomyślał. W pobliżu jak na złość ani jednej karetki, nie mówiąc już o taksówkach. Niemal biegiem puścił się w stronę domu, licząc, że jakiś pojazd spotka po drodze. Przed oczyma miał wizję zgliszcz swojej willi, ze skrwawionymi zwłokami żony wewnątrz.

Notatka w „Echu Południa „Zuchwały napad"

„Wczoraj wieczorem dwóch uzbrojonych osobników wtargnęło do mieszkania znanego w N. lekarza ginekologa podczas jego nieobecności. Odbęło się to po uprzednim podstępny wywabieniu go z domu. Grożąc porwaniem obojga dzieci, zażądali od przerażonej małżonki lekarza wydania wszystkich pieniędzy i kosztowności. Ulegając przemocy musiała na to się zgodzić.

Milicja jest już na tropie przestępców, a o dalszym przebiegu wypadków poinformujemy naszych Czytelników po zakończeniu śledztwa".

Fragmenty zapisu magnetofonowego z przesłuchania Ewy Wiślickiej w Komendzie Miejskiej:

Pytanie. — Teraz proszę nam dokładnie opowiedzieć przebieg samego wypadku.

Odpowiedź. — Było to zaraz po wyjeździe męża, o którym to fakcie opowiadałam przed chwilą. Rozległ się dzwonek u drzwi. Myślałam, że czegoś zapomniał, więc pytam: „To ty? „Tak" — pada odpowiedź. „Czemu sobie nie otworzysz, nie wzięłeś klucza?" „Nie" — odpowiedział.

P. — Nie zauważyła pani zmiany głosu u swego męża?

O. — Może trochę był inny, ale w końcu mówił tak mało i zza grubych drzwi, że nie wydawało mi się to podejrzane.

P. — Dobrze, i co dalej?

O. — Jak tylko otworzyłam, to jeden z nich kopnął drzwi tak mocno, że boleśnie uderzyły mnie w ramię i o mało nie przewróciły.

P. — Mieli broń?

O. — Jeden z nich miał nóż. Ten który wszedł pierwszy. Musiałam z przerażeniem się w ten nóż wpatrywać. bo powiedział coś takiego: „Nie bój się, to nie na ciebie". Potem podszedł do telefonu i przeciął kabel. Właściwie nie tylko przeciął, ale kawałek wyciął i rzucił w kąt. „Żeby nie przyszła pani ochota gdzieś dzwonić po naszym wyjściu" — powiedział ten drugi. W ogóle był grzeczniejszy.

P. — Czy różnili się czymś między sobą? Jak by ich pani opisała?

O. — Właściwie nic. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, może jeden nieco tęższy. Ale nie przysięgnę, bo tak byłam zdenerwowana.

P. — Rozumiem. Byli w maskach?

O. — Tak, to znaczy mieli twarze do oczu zasłonięte chustkami.

P. — I co dalej?

O. — „Forsa albo dzieciaki". — „Nie rozumiem" — mówię. „Dobrze rozumiesz" — To ten pierwszy. — „Albo dajesz cały szmal, i to z zielonymi, a także złotko, albo my pakujemy małe do samochodu. Wtedy już do sądnego dnia ich nie zobaczysz". Nogi się pode mną ugięły, myślałam, że zemdleję. „Dobrze" — mówię — „dam wszystko co mamy". Kiedy szłam do kasy z kluczami, jeden z nich — znów ten bardziej brutalny — wyrwał mi je z ręki i sam otworzył.

P. — Nie bał się jakiejś sygnalizacji alarmowej, zaszyfrowanego zamka?

O. — Ach, skąd, to taka zwykła metalowa kasetka, gdzie trzymamy gotówkę.

P. — Jak wiele lego było?

O. — Nie wiem dokładnie. W gotówce coś ponad sto tysięcy złotych, bo właśnie mieliśmy zmieniać samochód, więc mąż wycofał z PKO. Było też trochę dolarów. Miały być wpłacone na konto dewizowe, ale tak się zwlekało. Trochę mojej biżuterii.

P. — Czy byli w rękawiczkach, czy bez?

O. — Nie wiem, czy obaj. Ten, który wyrwał mi klucz — był. w takich cienkich, irchowych.

P. — Będzie pani uprzejma zrobić nam jak najdokładniejszy spis zrabowanych walorów. Na razie dziękuję.

Fragment zapisu magnetofonowego z przesłuchania Adama Wiślickiego w Komendzie Miejskiej:

Pytanie. — Czy to był młody głos, który odezwał się w słuchawce?

Odpowiedź. — Zdecydowanie tak.

P. — Nie poznaje pan po głosie swoich pielęgniarek?

O. — Na ogół poznaję, ale ostatnio przyjęliśmy kilka nowych osób.

P. — Z tego co pan mówił przed chwilą wynika, że osoba dzwoniąca musiała być doskonale obeznana z oddziałem przez pana kierowanym, skoro wiedziała, jaki lekarz jest na dyżurze, i że chora o takim nazwisku leży w sali numer cztery. Nawiasem, jaki jest jej stan?

O. — Przed paroma dniami było kiepsko, komplikacje poporodowe, ale już ją wyciągnęliśmy z tego.

P. — A czy w dniu telefonu mogła dostać zapaści?

O. — Teoretycznie tak, ale w praktyce mało prawdopodobne.

P. — Czy mógłby pan podejrzewać kogoś ze swego personelu?

O. — (Po namyśle) — Nie. Zdecydowanie nie.

P. — A poza pielęgniarekami? Sprzątaczkami? I Lekarkami?

O. — Lekarki? Ależ panie poruczniku!

P. — W końcu nie musiał to być ktoś z pańskiego oddziału, a na przykład z sąsiedniego. Jaki oddział jest z drugiej strony klatki schodowej?

O. — Noworodków. Tam też wszystkich znam.

P. — Ale wspominał pan o nowo przyjętych, czy mógłby pan podać te nazwiska z możliwie dokładną charakterystyką?

O. — Tak. Ale sądzę, że w kadrach będą o nich wiedzieć więcej.

P. — No to na razie tyle. Proszę nas powiadomić, gdyby pan gdzieś dalej wyjeżdżał.

O. — Oczywiście.

* * *

Fragment pewnej rozmowy telefonicznej:

— Czy to 21-311?

— Tak, 21-311.

— Mam do sprzedania psa.

— Ratlerek?

— Nie, pudel.

— Szkoda, bo mnie interesują wyłącznie ratlerki. No, nareszcie się odezwałaś, kochanie, jak poszło?

— Jak po maśle. Bez żadnych kłopotów. Mam 1300 i z pół kilo złomu. Im dałam według umowy i premię specjalną.

— Nie protestowali?

— Skądże. Ale słuchaj, zmieniłam metę. Ciotka fajna, ale gadatliwa i ciekawska. Ciagle ich o robotę pytała. Więc mam coś lepszego, z drugiej strony miasta.

— To dobrze. A pewna?

— Raczej tak. Kolejarz emeryt. Lubi wypić i o nic nie pyta. Ale kończy mi się zapas paliwa dla nich.

— To nic, uzupełnię ci. Zaczęli już pisać, czytałaś?

— Tak, Dziwne, że dopiero teraz.

— Przypuszczam, że numer 1 przemilczał incydent. Widać nie czuje się zbyt pewnie.

*** *

Porucznik Jan Erlich, kierownik „dochodzeniówki” wraz ze swym zastępcą, sierżantem Majewskim popijali kawę przesłuchując taśmy z nagranych rozmowami z obojgiem Wiślickich. Po skończeniu długi czas panowała cisza. Przerwał ją wysoki, szczupły brunet Erlich.

— Teraz widzę pewne mankamenty w naszych przesłuchaniach. Od Wiślickiej nie dowiedzieliśmy się na przykład, gdzie w czasie tego zajścia były dzieci. Czy już w łózkach, czy zwabione hałasem przypadkiem nie zajrzały do przedpokoju? Dzieci są spostrzegawcze. Mogły zauważyć jakiś charakterystyczny szczegół u bandziorów.

— Chyba była nazbyt zdenerwowana, żeby to zauważyć.

— A ja powinienem dowiedzieć się od Wiślickiego, czy w pobliżu szpitala albo w jego hallu nie ma przypadkiem automatu telefonicznego. Jeśli jest, to znaczy, że trzy osoby wystarczyły do tej roboty. Jeśli nie, to uczestników napadu musiało być co najmniej czterech.

— Raczej czworo — poprawił Majewski — bo wiemy, że i pleć piękna jest w to zaangażowana.

— Słusznie. Ale i tak będę w szpitalu, żeby porozmawiać sobie z dziewczętami. Więc przy okazji sprawdzę.

— A ja rozejrzę się w pobliżu domu Wiślickich. Oni mieszkają na Klonowej, a Klonowa to spokojna uliczka. O dziesiątej wieczór samochód mógłby być zauważony.

— Chyba nic z tego nic będzie. Wiślicki jechał samochodem, jeździli pewnie i inni. O ile wiem, jest to typowa ulica willowa. Mieszka tam kilku lekarzy, adwokatów, inżynierów, słowem takich, którzy piechotą chodzić raczej nie lubią.

— A mnie — rozmarzył się Majewski — chciałoby się, żeby tak jak w powieściach Agaty Christie, mieszkała tam jakaś starsza dama, która nudząc się całymi dniami wysiaduje w oknie i liczy przejeżdżające samochody.

Erlich roześmiał się.

— Oj, coś ci się pokręciło, Mięciu. Teraz o dziewiątej jest już ciemno, więc oprócz świateł reflektorów nic by nic widziała. A poza tym tamtejsze wille przeważnie położone są daleko od ulicy, w ogrodach. No, ale oczywiście pójść tam powinieneś. Ile czasu ci to zajmie? Zresztą nic, lepiej idź tam po południu.

Budynek szpitalny był okazały, zwłaszcza w skali tego miasta, niegdyś powiatowego. Zbudowany w kształcie litery T znajdował się na wzgórzu, nieco poza miastem. Był wczesny ranek. Erlich szedł piechotą, żeby lepiej poznać topografię terenu. Przy ulicy idącej pod górę i skręcającej w lewo znajdował się postój taksówek, kiosk „Ruchu”, a obok budka telefoniczna. Automat, co stwierdził nie bez pewnego zdziwienia, był czynny. Widać chuligani nic zdążyli go jeszcze zdewastować. Wokół parkingu i kiosku rosły gęste krzaki jaśminu i bzu, bezlistne o tej porze roku. Portiernia i brama wjazdowa oddalone były o jakieś 200 metrów od wysuniętego skrzydła szpitala. Portier skierował porucznika na parter, gdzie mieścił się dział kadr. Jego kierowniczką, wysoka, postawna blondyna, przyjęła Erlicha dość chłodnie, z czego wywnioskował, że znała przygodę ordynatora Wiślickiego i postanowiła bronić swych podopiecznych. Ale zmieniła postawę, gdy dowiedziała się, że chodzi głównie o byłe pracownice oddziału położniczego. W ciągu ostatniego miesiąca odeszły stamtąd jedna pielęgniarka i dwie salowe. Etat pielęgniarki już miała obsadzony, oba etaty salowej — nie. „A wie pan porucznik, jak teraz trudno jest o salowe! Nikt nie chce zajmować się podawaniem base-nów, choć na rynku mamy nadmiar kobiecych rąk do pracy”. Pielęgniarka wyszła za mąż za Amerykanina i wyjechała do Stanów, jedna z salowych samowolnie opuściła pracę przed dwoma tygodniami („to pewnie wykopki” — skomentowała kadrowa), a druga przepracowała tu zaledwie pięć dni.

— Widzi pan, to była maturzystka, która nie dostała się na medycynę. Pracą w szpitalu „zarabiała” dodatkowe punkty na studia.

— Więc skąd to nagle odejście?

— Powiedziała mi, że przeceniła swoje siły. I rzeczywiście, było to dziewczę raczej wątłe.

— Kiedy odeszła?

— Siedemnastego października.

— Z pewnością w teczce personalnej pozostało jej zdjęcie?

— Niestety. Zbyt krótko pracowała. W jej teczce personalnej jest tylko podanie o pracę i życiorys.

— A jej koleżanka, kiedy ostatni raz była w pracy?

— To trzeba ustalić u siostry oddziałowej na położnictwie, ale zaraz zadzwonię.

Okazało się, że ostatnio na oddziale widziano ją szóstego października. Erlich pożegnał panią kadrową notując nazwiska obu salowych, a w dziale o nazwie „Ruch chorych” poinformowano go, że Amelia Ponińska przyszła rodzić 25 września.

* * *

Porucznik Erlich nie zdążył dobrze usiąść za suym biurkiem, gdy zadzwonił do niego zastępca komendanta.

— Przyjdź do mnie. Tak, teraz. Mam coś pilnego.

W gabinecie podpułkownika Biskupskiego Erlich nastał sierżanta Mazura, który wczoraj pełnił obowiązki podoficera dyżurnego.

— Właśnie przeglądałem wczorajsze meldunki sierżanta — Biskupski ruchem głowy wskazał Mazura — i widzę, że to sprawa kropka w kropkę jak ta, którą prowadzisz. Wymuszenie pod groźbą uprowadzenia dziecka. Wszystko wskazuje, że sprawcy ci sami.

— Dwóch facetów i dziewczyna?

— Zdaje się — wtrącił Mazur. — Tu jest zeznanie taksówkarza. Przyjechał sam, bo żona źle się czuła. Ale mam jego numer telefonu.

Powiedział, że jak tylko prowadzący dochodzenie zechce, to wsadzi żonę w taryfę i przywiezie do Komendy.

— To on nie jest z N.

— Nie, z Piasków. Tam, gdzie to osiedle przyfabryczne. Ponad 2000 mieszkańców, trzy taksówki. Nie licząc oczywiście kursujących z N. To przecież zaledwie to kilometrów

— Pogadać z nimi trzeba, i to dokładnie.

Mogą się znaleźć jakieś punkty styczności między tym napadem a wizytą u doktora Wiślickiego. Dowiedziałeś się czegoś w szpitalu?

— Na szczegółowe rozeznanie sytuacji nic miałem czasu. Trzeba rozmawiać z całym żeńskim personelem oddziału. A jest tego ponad dwanaście osób. Wiem tylko, że dwie salowe ostatnio odeszły, w tym jedna nie pozostawiając adresu — niejaka Izabela Drecka. Tegoroczna maturzystka, która nic dostała się na studia i jako salowa „zarabiała” punkty na uczelnię. Druga z nich porzuciła pracę. Jest ze wsi i chyba roboty połowe ją do tego skłoniły. Odeszła też jedna pielęgniarka, wychodząc za męża za obcokrajowca. Ta jest poza podejrzeniem.

— Więc ta absolwentka?

— Trudno powiedzieć. Niewykluczone, że któraś z aktualnie pracujących ma kontakty z marginesem.

— Trzeba sprawdzić. Ale na razie ty jedź do Piasków.

Mimo iż Erlich kilka godzin spędził u taksówkarza Zenona Kwaśniewskiego na rozmowie z nim i jego żoną, a także zasięgając opinii wśród kolegów, nic nie wskazywało na tożsamość grupy dokonującej obu napadów, oprócz metody szantażowania porwaniem. Po pierwsze: liczba napastników. Kwaśniewska nie potrafiła stwierdzić, ilu napastników było w mieszkaniu. Oto jej relacja:

— Gdzieś tak przed dziesiątą rozległo się pukanie do drzwi. Pobiegłam szybko, bo mały właśnie zasnął i bałam się, że się obudzi. Uchyliłam drzwi zamknięte jak zwykle na łańcuch. „Czy jest Zenek?” — zapytał jakiś głos. Twarzy nie widziałam, bo na korytarzu ciemno. „Nie ma” — mówię. Jak nie stoi na postoju tu nas w Piaskach jest tylko jeden postój — koło restauracji, no i drugi na dworcu), to musiał mieć jakiś kurs. „To nic, ja jestem z bazy, mam ważną wiadomość dla niego, napiszę mu parę słów. Jutro z samego rana musi do mnie przyjechać”. Nie, nie bałam się. Skoro znał męża po imieniu, to myślałam — jakiś kolega, przecież nie wszystkich znam. Otworzyłam, a potem odwróciłam się tyłem wchodząc do pokoju. Wtedy zarzucił mi coś — szalik chyba — na twarz i zaczął dusić. Oczy też miałam zasłonięte, więc nic nie widziałam. Potem coś, że zabiorą małego, jeśli nie powiem, gdzie są pieniądze. Tchu nie miałam, żeby odpowiedzieć, a wtedy któryś z nich podszedł prosto do szafy (słyszałam jak drzwi skrzypnęły), potem widać szukał pod bielizną. I znalazł, bo zaraz się wynieśli. Ale przedtem dostałam czymś po głowie. Nie za mocno, przytomności nie straciłam, ale przez dłuższą chwilę nie mogłam ruszyć się z podłogi.

„Zatem i technika napadu inna” — pomyślał Erlich. „Kwaśniewscy mieli telefon, a mimo to nie wykorzystano go do wywołania taksówkarza z domu. Przewodu też nie odcięto”.

Kwaśniewski zeznał tak:

— Moja „Warszawa” ma już swoje lata. Jak wyszedłem z wojska, to używaną kupiłem, a i sam już trzeci rok jeżdżę. Właśnie zbierałem na nowy wóz — już 150 000 miałem. I gdyby nie te bandziory - ech. No i w środę wieczór wyjechałem. Zawsze na warszawski pociąg ktoś się znajdzie, a i z wysiadających też. Stałem przed knajpą. Ale zegar w samochodzie mam zepsuty. Wiem tylko, że na pociąg nikogo nie było. Za to po chwili wsiadła jakaś pani i mówi, że chce do lecznicy zwierząt. To będzie dobre trzy i pół kilometra od centrum, więc zażądałem za powrotną drogę też. Na to ona, że zaraz wraca, tylko w parę minut coś załatwi. Nawet spojrzałem, czy ma jakiegoś zwierzaka, bo taki potrafi w wozie narobić, ale nic nie miała. Nie, twarzy nie widziałem, bo tak usiadła, że w lusterku nie było widać. Wiem tylko, że miała jasny beret i nie była specjalnie wysoka. Szczupła? Trudno powiedzieć, pod płaszczem nie znać. O której wróciliśmy, też nie wiem, ale chyba przed dziesiątą, bo w lecznicy nie była długo, jakieś 5 minut, najdłużej. Wsiadła nie w mieście, tylko kazała się zawieźć na dworzec. Panie poruczniku, jak wy nie dacie rady, to ja przy pomocy swoich kumpłi z Piasków i z N. tych bandziorów w końcu odnajdę, i swoich pieniędzy nie daruję. Zdrowia żony też — dodał po chwili.

— Taka pomoc może być cenna — wtrącił Erlich; — ale jest trochę za mało danych. Żona na dobrą sprawę nie widziała tych facetów, a babek w beretach chodzi sporo.

— Ale mało która jedzie w nocy do lecznicy zwierząt bez psa czy kota. A do pociągu w normalny dzień też niewiele osób wsiada na naszej stacji o tej porze.

— Słusznie, jedziemy za tym tropem. Ale niech mi pan jeszcze powie, czy miał pan w domu tylko złotówki, czy inną walutę też?

— Ani dolara nie było. „Fiata z przydziału miałem dostać, za polskie złote. Jak pan myśli, ktoś im tę robotę u mnie nadał, co? Ktoś, kto mnie nieźle zna, bo skąd by wiedział, że mam pieniądze w szafie pod bielizną?”

— Niekoniecznie. U nas już taki obyczaj, że babcie chowają swoje skarby do siennika, a młodszy pod bieliznę. To i każdy złodziej najpierw tam zagląda.

— Coś tak jak z kluczem pod wycieraczką?

— Tego już się ludzie oduczili. Ale do niedawna tak było.

Taksówka Kwaśniewskiego podjechała pod lecznicę.

Budynek usytuowany był w pewnym oddaleniu od szosy, w sosnowym lesie. Niestety, rekonesans nie przyniósł żadnych rezultatów. Erlichowi oświadczone, że lecznica czynna jest do szesnastej, a później jedynie pogotowie weterynaryjne. Teoretycznie można się zgłaszać do dwudziestej drugiej, ale w praktyce mieszkańcy Piasków nie należą do fanatycznych miłośników zwierząt i nikt z personelu nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio było jakieś zgłoszenie wieczorem.

Skontaktowano porucznika z technikiem, który owej środy miał dyżur. Kategoriecznie zaprzeczył, by ktoś mu między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą składał wizytę. Dowód ma na to pośredni, ponieważ w tym czasie rozmawiał poprzez zamiejscową — ze swą narzeczoną we Wrocławiu. A że na koszt firmy, więc nie musiał się streszczać, co telefonistka może potwierdzić. Erlich nie sprawdzał już tych informacji, gdyż zarówno odległość od centrum, jak i zadrzewiony teren doskonale nadawały się na taką przejażdżkę, by mieć pewność, że odciągnie się kierowcę od jego miejsca zamieszkania nie wzbudzając podejrzeń.

Kwaśniewski wyraźnie zmarkotniał, kiedy w drodze powrotnej wstępowali na dworzec; Erlich też nie miał najweselszej miny.

— A za co pan kupił tę warszawę, panie Kwaśniewski? — zapytał raczej dla podtrzymania konwersacji, gdyż już z poprzednich rozmów wiedział, że kierowca cieszył się nienaganną opinią wśród kolegów, podobnie jak jego rodzice w swym otoczeniu.

— Jeszcze przed wojną zacząłem składać. Pracowałem w POM-ie, a że rodzice jeść dali, to każdą pensję i premię wkładałem na książeczkę. -Na ciuchy to ja wydawać nie lubię. A jak trzy lata temu ożeniłem się, to nie robiłem żadnego przyjęcia, tylko wszystko, co jej starzy dali na ślub, poszło na samochód. Ale nie żałuję. Żona zresztą też nie.

Na stacji, zgodnie z przypuszczeniami Erlicha, nikt nie przypominał sobie niezbyt wysokiej kobiety w jasnym berecie, która byłaby tu przedwczoraj wieczorem. Porucznik liczył głównie na kasjerkę. Pamiętała, że było nie więcej niż 5—6 kupujących bilety w stronę N. (odjazd pociągu 22.20, ale było opóźnienie), a wśród nich nikogo w jasnym berecie. A przecież większość pasażerów odjeżdżających z Piasków ona zna z widzenia.

— Czy jak podjechaliście pod dworzec, to były tu jakieś samochody? — spytał Kwaśniewskiego, gdy wyszli przed budynek.

— Kto by tam, panie poruczniku, zwracał na to uwagę. Normalnie, jak to na stacji, zawsze trochę się kręci.

* **

Fragment pewnej rozmowy telefonicznej .

— Czy to 21-311?

— Tak. 21-311.

— Mam do sprzedania psa.

— Ratlerek?

— Nie, pudel.

— Szkoda, bo mnie interesują wyłącznie ratlerki. Czy ja już mam resztę zdrowia tracić czekając nim się odezwiesz?

— Mam trudności. Nie zawsze mogę wyskoczyć do budki. Muszę dobrze pilnować chłopaczków...

— A co się stało?

— Nic. Rozleniwili się po ostatniej wycieczce.

— Pewnie za dużo im dałaś?

— Skąd, normalnie. Tylko apetyt im rośnie." Musisz mi znowu dostarczyć...

— Uważaj z tym, żeby nie przedawkować. Mogą być kłopoty...

— Poza tym nie wiem, czy taksjarsz mnie nie poznał. Wprawdzie było ciemno, usiadłam z tyłu w kącie, ale zawsze...

— Zmień powierzchowność. I żadnych taksówek!

— Oczywiście. Skrytka opróżniona?

— Tak. Ale dobrze nic jest. Wykiwał nas. Kupowanie to ryzyko, a nam jeszcze sporo brakuje.

— Ile?

— Myślę, że dobrych dwóch klientów wystarczy, może trzech. Pojutrze w skrytce znajdziesz najnowsze instrukcje. Najdalej w poniedziałek, wtorek. Na mecie spokój?

— Tak.

— To na razie, całuję.

— Ja też. Pa!

Porucznik Erlich nie miał powodów do radości, gdy następnego dnia po pobycie w Piaskach zjawił się w swoim pokoju w komendzie. Sierżant Majewski korespondencyjnie donosił mu, że udaje się do lekarza z objawami silnego przeziębienia. Dołączył też raport z oględzin miejsca wypadku przy ul. Klonowej. Niestety nie wnosił on nic nowego do sprawy. Tyle tylko, że Wiśliccy oszacowali swoje straty na 200 tysięcy złotych, siedemset dolarów, dwa złote naszyjniki, jedną bransoletę i męski złoty zegarek marki Schafhausen. Wiedząc, że Wiślicki ma blisko dziesięcioletnią praktykę prywatną, ilość zrabowanych walorów wydawała się Erlichowi trochę zaniżona. Widocznie pan docent miał powody, by nie przyznawać się do faktycznej straty. Jakże to mogły być powody — zastanawiał się porucznik. Obawa przed domiarem? Przed dalszymi rabunkami? Teraz już chyba zabezpieczą się dobrze. Szkoda, że Majewski nie pisze, jakie teraz Wiślicki

stosuje środki ostrożności. Wypytywanie sąsiadów na temat samochodów krytycznego dnia, też nic nie dało. Jedni mówili, że coś tani wieczorem jechało, nikt jednak żadnego pojazdu nie widział (mógł to być tak samochód Wiślickiego, jak i jakiś inny), inni nic nie dyszeli. Nikt również nie widział w (ej dzielnicy dwóch obcych mężczyzn.

Następnie Erlich zameldował się u zastępcy komendanta. Biskupski z uwagą wysłuchał doniesień z postępów dochodzenia. Nie były one imponujące.

— Sam, poruczniku, nie dasz rady. Zwłaszcza że Majewski zachorował. Zwróć się do wojewódzkiej, muszą nam jakoś pomóc, przynajmniej w formie konsultacji jakiegoś fachowca. Ze dwóch ludzi też by się przydało, przy naszych niedoborach kadrowych. Jak z prasą? Myślę, że teraz nic powinni nic pisać, żeby nie przepłoszyć ptaszków.

— Miałbym inny pomysł, pułkowniku. Zwierzył się przełożonemu ze swego projektu.

— Ano próbuj, zobaczymy. Myślisz, że to ci sami?

— Chyba tak. Wydaje mi się, że celowo zmieniają metody, żeby trudniejsze było ich utożsamienie. Ale co przemawia za tym, że to jedna szajka: usiłowanie kidnapingu i obecność w obu przypadkach jednej dziewczyny. Kto wie, czy to nie ona jest motorem całej akcji...

— Możliwe.

Notatka w „Echu Południa”

Strzeżmy się rabusiów

„Już po raz drugi w tym miesiącu w naszym regionie miał miejsce zuchwały napad na samotną kobietę. Wykorzystując nieobecność w domu Zenona K., — taksówkarza, nieznanego osobnicy wtargnęli do jego mieszkania, po czym używając przemocy fizycznej na jego żonie zrabowali zgromadzone oszczędności.

Wracając późnym wieczorem po pracy, Zenon K. dostrzegł wychodzących z jego posesji dwóch osobników. Rysopis jednego z nich zapamiętał. Jest to mężczyzna wzrostu około 1.75 cm, ciemny blondyn, krótko ostrzyżony. o kanciastej nieco sylwetce; lekko się garbi. Ktokolwiek widział podobnego osobnika w dniu 29.X. pomiędzy dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą w okolicy ulicy Kościuszki, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Miejską MO pokój 110, lei. 132-41 lub najbliższym posterunkiem milicji.

Wszyscy musimy pomóc organom ścigania W ujęciu groźnych przestępców, abyśmy spokojnie mogli pozostawiać w domu nasze żony”.

— Cóż, widzę, że założyłeś wielki blef? — zwrócił się podpułkownik Biskupski do Erlicha wchodząc do jego pokoju i odkładając egzemplarz „Echa Południa”.

— I tak, i nie, panie pułkowniku. Rzeczywiście, z Kwaśniewskim zblefowałem. Kiedy bandziory wychodziły z jego mieszkania — on był w przeciwległym końcu miasta, prawdopodobnie gdzieś koło dworca lub „Switezi”. Ale rysopis zamieszczony przez prasę, mimo że jest niemal uniwersalny, odpowiada mniej więcej temu, który podała Wiślicka sierżantowi Majewskiemu, gdy był tam wczoraj. Jeśli to ci sami, to mogą trochę się przestraszyć. Jeżeli zaś planują następny skok, to mogą popełnić jakiś błąd.

— A jeśli mają pewność, że udało im się wyjść z mieszkania przy Kościuszki przez nikogo nie zauważeni, to teraz śmieją się w kułak. Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że w moim gabinecie siedzi gość z Komendy Wojewódzkiej. Niejaki kapitan Skrobot...

— Znam Skrobota. To on w zeszłym roku razem z Żywieckim rozpracował cwaniaka, który usiłował zasugerować własną śmierć, podstawiając do samolotu kolegę.

— Nie musisz mi mówić. Wtedy byłem jego przełożonym w komendzie. Siedzi teraz u mnie i zapoznaje się z zebranymi przez ciebie materiałami. Ciekawe, co on powie o tej informacji w gazecie. Przyjdź do mnie za godzinę.

— Tak jest, pułkowniku.

Po godzinie siedzieli w trójkę w gabinecie zastępcy komendanta, a na stole parowały mocne kawy. Chwilę panowało milczenie, które przerwał Skrobot.

— Zdaje się, że wasz pracownik, sierżant Majewski, złożył wizytę w mieszkaniu Wiślickich. Nie znalazłem tu jego raportu — zwrócił się do Erlicha.

— Rozchorował się zaraz po wizycie na Klonowej. Ale pozostawił mi krótką informację. Wiślicka podała wykaz zrabowanych walorów, oto on — podsunął kapitanowi kankę papieru. — Dzieci, jej zdaniem, były w łóżkach, bo bandyci specjalnie nie hałasowali i wszystko odbyło się dość spokojnie. Żadnych innych szczegółów, dotyczących napastników, nie przypomina sobie, z wyjątkiem tego, że chustka na twarzy jednego z nich była w turecki wzór, ciemnoczerwona z zielonymi akcentami...

— Wiadomo, kobieta — wtrącił Biskupski, przez podwładnych zwany „Szeryfem” ze względu na zwalistą postać i poruszanie się przy tym ze zwinnością lamparta — no, ale referujcie dalej, poruczniku.

— Właściwie niewiele jest do dodania. Sąsiedzi niczego podejrzanego nie zauważyli. A chcieliśmy stwierdzić, czy napastnicy dysponowali samochodem...

— Czy w drugim wypadku, Kwaśniewskiego, mieli samochód?

— Też nie wiadomo. Faktem jest, że „przynęta”, czyli kobieta zamawiająca daleki kurs taksówką, pociągiem raczej nie jechała, choć w powrotnej drodze kazała się zawieźć na dworzec. Chyba że bez biletu lub na miesięczny. Wiec albo skorzystała z jakiejś okazji, albo czekał tam na nią samochód.

— Za dużo w tych dwóch zdaniach niewiadomych — zastanowił się Skrobot. — Na razie jest to błędzenie po omacku, bo przyjąwszy założenie, że jest to jedna szajka, która celowo zmienia metody napadów, te- przygotowuje ona swoje występy bardzo starannie. Do ich reżyserii nie można mieć zastrzeżeń.

— A co sądzicie, kapitanie, o pomysłe z tą „dezinformującą informacją” w miejscowej gazecie? spytał Biskupski.

— No cóż, na dwoje babka wróżyła. Jeśli trafiliście z opisem bandziora, a po tej ulicy, gdzie mieszkają Kwaśniewscy...

— Kościuszki — wtrącił Erlich.

— Po Kościuszki ktoś się kręcił wieczorem, to mogą się wystraszyć i albo się przyczają, albo zmieniają teren działania.

— To drugie nie wydaje mi się prawdopodobne — przerwał Erlich. — Wygląda na to, że pewnie czują się tutaj i mają dobre rozeznanie w okolicy.

— Być może. Nic nie wskazuje jednak, żeby ze strachu mieli popełnić jakieś głupstwo, na co zdaje się liczyliście?

— Owszem.

Wszystko wskazuje na to, że nie są amatorami, którzy grasują tak długo, póki nie wpadną. Oni. w> daje mi się. mają ściśle zaplanowany każdy ..występ".

— Po czym tak sądzicie? zainteresował się Biskupski.

— Po organizacji napadu. Po starannym przygotowaniu „skoku" na Wiślickich...

— Ale chyba w przypadku Kwaśniewskich było więcej improwizacji— wtrącił Erlich.

— Pozornie tak. W każdym razie przygotowania nie były tak czasochłonne. Uderzające jest jednak to, że wiedzieli, że Kwaśniewski przechowuje w domu większą sumę pieniędzy. Skąd?

— Trzeba dokładniej rozejrzeć się wśród ich znajomych -- skonstatował zastępca komendanta.

—Warto przyznał Skrobot. ?— O ile przyjęliśmy właściwe założenie, że oba napady są dziełami tej samej bandy. Znane są przecież wypadki, kiedy dzięki środkom przekazu w pewnym sensie „podpowiada się" metodę działania amatorom łatwego zarobku. Mogli jacyś młodzi po przeczytaniu notatki w „Echu" wpaść na pomysł skopiowania ich roboty...

— Podobnie jak zastosowanie metody napadu ściągniętej żywcem z filmu „Rififi" — wpadł kapitanowi w słowo Erlich.

— Chociażby. A w tym wypadku ..dublerzy" mieliby i tę korzyść, że pracowaliby na konto projektodawców...

—... wyprowadzając nas w pole.

— Oczywiście. Aha, jak się nazywa ta młoda dziewczyna, maturzystka, która parę dni pracowała na polonistwie?

— Izabela Drecka.

— Myślę, że warto pójść tym śladem.

— Dobrze. Będziemy jej szukać. Niestety w kadrach szpitala nie ma jej zdjęcia. Miała dostarczyć do legitymacji pracowniczej, ale nie zdążyła.

— Tak, trzeba się nią zająć, bo druga z salowych raczej nie wchodzi w rachubę. Chyba że jeszcze ktoś ze szpitala?

— Raczej nie. kapitanie. Wczoraj byłem tam powtórnie. Zarówno na oddziale, jak i w hotelu pielęgniarek. Rozmawiałem ze wszystkimi dziewczętami pracującymi u docenta Wiślickiego i z niektórymi z sąsiednich. Brak jakichkolwiek przesłanek, wskazujących na którąś z nich.

— Rozumiem.

Wiśniowa jest boczną uliczką do Klonowej i kończy się ślepo. Domów przy niej niewiele; w większości drewniaki z ganeczkami przedwojennej proveniencji. Jednopiętrowa, murowana willa Malewicza wyróżniała się w tym otoczeniu tak wystrojem zewnętrznym, nic rzucającą się w oczy, w dobrym guście, kolorystyką tynków, jak i solidnym wykończeniem. Nic w tym dziwnego, skoro Kazimierz Malewicz miał uprawnienia budowlane, a specjalnością jego były prace wykończeniowe. Znany w N. jako solidny • budowlaniec, któremu spokojnie można było powierzyć budynek w stanie surowym, a jego podwykonawcy: tynkarze, posadzkarze, szklarze, stolarze, elektrycy, hydraulicy i inni oddawali wille jak spod igły. Ceny „u pana inżyniera” — jak go powszechnie nazywano (choć nikt nigdy dyplomu nie widział) były odpowiednio słone, ale przy nagminnym braku materiałów i kłopotach z rzemieślnikami wielu klientów godziło się z tym stanem rzeczy i na brak roboty firma „K. Malewicz” nie narzekała. Była to właściwie firma jednoosobowa, w której właściciel pełnił jednocześnie funkcję dyrektora, księgowego i kierownika budowy. Miał on zawsze w rezerwie własne zaplecze wykonawcze, angażowane w miarę potrzeb.

Obecnie Malewicz — zażywny mężczyzna blisko pięćdziesiątki — krążył po sześciu pokojach swojej willi zamyślony głęboko, od czasu do czasu przysiadł na pierwszym z brzegu fotelu i wracał po raz nie wiadomo który do egzemplarza „Echa Południa”, konkretnie zaś do jednej notatki tam zamieszczonej. -

— „Już po raz drugi w tym miesiącu w naszym regionie miał miejsce zuchwały napad na samotną kobietę” — czytał wciąż od nowa...

„Po raz drugi. No tak. Z pewnością redakcja uważa napad na Wiślicką jako wypadek pierwszy. Ale być może się mylą. Może casus Kwaśniewskich ma kolejny numer trzy? Jeśli oczywiście i ta numeracja nie jest zanizona”.

Miał Malewicz wszelkie podstawy, żeby tak; sądzić, od momentu gdy opuściła go żona. Żona — to niezbyt precyzyjne określenie, ponieważ z Anną Zębowską (było to jej panieńskie nazwisko, do którego wróciła po rozwodzie) pan Kazimierz nigdy ślubu nie brał. Żył z nią jednak dość przykładowie, mimo sporej różnicy wieku, od lat czterech, czyli od chwili przeprowadzenia się do N. z sąsiedniego województwa. Tam ją poznał, wówczas dwudziestopięcioletnią rozwódkę, mającą jedno dziecko — dwuletniego chłopca. Anna, dbająca po mieszczańsku o reputację, uzależniła swoje zejście się z Malewiczem od zmiany miejsca zamieszkania. Stąd więc przeprowadzka do N. Nie było z tym zresztą większych kłopotów, głównie ze względu na koncesję „pana inżyniera”.

Sielanka jednak skończyła się przed dwoma tygodniami w sposób dość gwałtowny, choć już wcześniej coś się między nimi zaczynało psuć. Pewnego dnia, po powrocie do domu Anna, zazwyczaj chłodna i opamnowana (Malewicz uważał, że do przesady) oświadczyła, że jest szantażowana, że jej dziecku grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo, w związku z czym dalszy jej pobyt w N. nie ma najmniejszego sensu. Przedsiębiorca budowlany zażądał od niej bliższych wyjaśnień. Powiedziała wówczas, że mogą porozmawiać jutro, kiedy będzie zupełnie trzeźwy. Istotnie, tego popołudnia musiał zaprosić na wódkę dostawcę grzejników, gdyż klient zażądał kaloryferów żeliwnych zamiast zainstalowanych już panelowych, i musiał przekonać go o konieczności zmiany asortymentu. Malewicz nie miał mocnej głowy i czuł te pół litra wypite we dwóch, więc nie bardzo docierały do niego słowa Anny. Potem ona zamknęła się w pokoju małego Jacka.

Następnego dnia z rana nie widzieli się, bo Malewicz musiał być wcześniej na budowie i wyszedł bez śniadania. Po powrocie, a było już ciemno, w domu nic zastał nikogo. Z szaf pozniakały wszystkie rzeczy, zarówno jej, jak i małego. W pawlaczu brakowało dwóch walizek — jednej, z którą przywędrowała tu Anna, i drugiej, kupionej wspólnie przed wyjazdem do Bułgarii. Brak też było niektórych ulubionych zabawek Jacka. W kuchni na stole zastał Malewicz kartkę zeszytowego papieru złożoną na pół. „Odchodzę. Wzięłam

z kasy gotówkę na okup dla napastników, którzy chcieli porwać Jacka. Napiszę szczegółowo później. Nie szukaj mnie. Anna."

Kasa, o której wspomniała — to skrytka w ścianie pomiędzy kuchnią a łazienką. Od strony kuchni drzwiczki z grubej blachy opatrzone zamkiem numerycznym przykryte były olejnym obrazkiem. Były one zamknięte, ale Anna знаła szyfr otwierający. Większej gotówki (w złotych) Malewicz w domu nie przechowywał, mając konto w PKO tyle co na bieżące domowe wydatki. Było tam ostatnio, o ile pamiętał, około pięć tysięcy. Znalazł 3 tysiąc złotych banknoty. Brak było natomiast koperty z trzema tysiącami dolarów, które najpierw zbierał z myślą o kupnie mieszkania w stolicy, a ostatnio chciał część tej sumy poświęcić na dopłatę do samochodu lepszej marki.

No i właśnie, głównie ze względu na te dolary, nie zgłosił sprawy do milicji. Zaczęto by bowiem — myślał — dochodzić, w jaki sposób wszedł w ich posiadanie. A nie był to sposób zupełnie zgodny z przepisami karno-skarbowymi, gdyż pewne prace niektórym ludziom wykonywał za walutę wymienną. To był jeden aspekt sprawy. Drugi był taki, że do Anny był jednak bardzo - przywiązany i cały czas podejrzewał, iż historia z okupem została przez nią wymyślona, choć w dotychczasowym pożyciu nigdy nie uciekała się po podobnych wybiegów. Ale — myślał — dotąd było inaczej. Bo psuć się jednak między nimi coś zaczęło. Od kilku dni Anna chodziła jakaś przybita, jakby ją coś trapiło. Ale że nie odznaczała się wylewną naturą, więc pan Kazimierz nie indagował jej specjalnie, nie chcąc — jak mawiał — wchodzić do duszy w butach z cholewami. Był zresztą przekonany, że ten stan minie i pewnego dnia, czy raczej nocy, wyzna mu wszystko.

Teraz jednak, po drugiej z kolei notatce w gazecie o napadzie na samotną kobietę, ogarnęły Malcwicza poważne wątpliwości. „Może Anna nie kłamała? Może po prostu została zmuszona w jakiś sposób do ujawnienia skrytki i szyfru otwierającego zamek"? Dlaczego jednak nie wyjaśniła bliżej, jak to się stało? A przecież obiecała napisać..." Pytań nasuwało się wiele.

* * *

Erlich ponownie złożył wizytę w szpitalu. Otrzymał w kadrach szczuplutkie „akta osobowe" Izabeli Drekiej i zagłębił się w jej życiorysie.

„Urodziłam się dnia 12 XII 1959 r. we wsi Konarzówka Wielka z ojca Jana i matki Marii z domu Fornal. Ojciec zmarł przed moim urodzeniem. Szkołę podstawową ukończyłam w Konarzówce... Liceum ogólnokształcące ukończyłam w roku 1977 w N. ..." Niewiele tego, jak i niewiele na drodze życiowej przebyła niedawna maturzystka Izabela Drecka.

Potem porucznik pojechał do Konarzówki. Na gospodarstwie Drekich od dawna, bo od 1961 roku włodarzył Franciszek Kula, który od wdowy odkupił ziemię, dom i dobytek. Ona zaś, Maria Drecka, z jedynym dziećciem, czyli Izabelą, wyjechała ze wsi i według wszelkiego prawdopodobieństwa wyszła powtórnie za mąż. Ale ani sąsiedzi, ani tym bardziej sołtys, nie potrafili nic bliższego powiedzieć na ten temat.

Następnie odwiedził liceum ogólnokształcące w N. gdzie według życiorysu panna Iza miała składać maturę, Ale tu okazało się, że jeszcze przed ukończeniem trzeciej klasy wycofała swoje papiery mówiąc wychowawczyni, że przenosi się do matki, do Krakowa. Ponoć nauczyciele odradzali jej to — mimo iż uczennicą była niezłą — bo do końca roku niewiele brakowało, a zawsze lepiej zmieniać szkołę -po skończeniu klasy. Ale Drecka uparła się i nie było rady. Twierdziła, że u matki będzie miała znacznie lepsze warunki. Dziwiło to trochę wychowawczynię, gdyż. zawsze była mowa o tym, że nie może dogadać się z ojczymem.

— A zatem gdzie mieszkała? — zapytał Erlich.

— Przez pierwsze dwa lata u ciotki, potem złożyła podanie o przydział miejsca w internacie, i otrzymała je — wyjaśniła wychowawczyni.

— A kto przychodził na wywiadówki?

- Ciotka. Nazwiska. niestety, nie pamiętam... Ale w trzeciej klasie, po zakończeniu pierwszego okresu i po półroczu, przyszła do szkoły córka tej ciotki, czyli Izy cioteczna siostra.

— To można tak?

— Panie poruczniku, przecież to półsierota, na dobrą sprawę opuszczona przez matkę. A poza tym, ta kuzynka była od Izy starsza o parę lat. Nie widziałam przeszkód, żeby nie traktować jej jak opiekunki mojej uczennicy. Oprócz tego sprawiała wrażenie osoby o ukształtowanej osobowości, która wie, czego chce...

— Po czym pani tak sądzi?

— Ot, choćby po tej dyskusji z nauczycielką angielskiego. Drecka była zupełnie dobra z tego przedmiotu, w każdym razie korzystnie wyróżniała się na tle klasy i moja koleżanka twierdziła, że stawia jej piątki bez wyrzutów sumienia. Tymczasem ta jej kuzynka miała wyraźne pretensje, że od Izy zbyt mało się wymaga, gdyż powinna ona poznać język perfekt, i to łącznie z dialektem amerykańskim. Ale to, niestety, przekraczało możliwości dydaktyczne naszej anglistki. W ogóle była na tej wywiadówce taka nieprzyjemna, apodyktyczna... powiedziałabym męski typ charakterologiczny, jeśli rozumie pan. co chcę przez to powiedzieć.

— A z wyglądu?

—Wysoka, dość zgrabna, ale przy tym taka... kanciasta.

— A o samej wychowance co mogłaby pani powiedzieć?

— Boja wiem..., ale właściwie dlaczego milicja się nią interesuje, czyżby coś przeskrobała?

—Nie wiadomo. W każdym razie podjęła pracę w pewnej instytucji, by ją po pięciu dniach porzucić.

— Och. mój Boże — przerwała porucznikowi nauczycielka — to zupełnie do Izy Dreckiej niepodobne, wszystko jej można zarzucić, tylko nie brak konsekwencji. Niektórzy koledzy uważali, że jest uparta. Ja tak nie sądziłam. Właśnie — konsekwentna w dążeniu do określonego celu.

— Czy myślała o medycynie?

— Wie pan, w tym wieku, myślę o okresie, zanim opuściła szkołę, nie wszyscy mają już dokładnie sprecyzowane zainteresowania. Ale musiałabym zapytać koleżankę, która uczyła ją biologii. Jeśli pan porucznik pozwoli, to zajrzę do pokoju nauczycielskiego. Koleżanka powinna teraz mieć „okienko”.

— Bardzo bym prosił.

Pani Madeyska, wychowawczyni Izy Dreckiej, opuściła pracownię fizyczną, w której rozmawiali (była. wykładowczynią tego właśnie przedmiotu) pozostawiając Erlicha z własnymi, niezbyt wesołymi myślami.

Wróciła po niecałych pięciu minutach.

— Tak, to prawda, interesowała się biologią, dobra była też z fizyki, co sama mogę stwierdzić, i chemii. Nie wspominała natomiast o medycynie. Ale w ogóle to była dziewczyna raczej skryta. Jak pamiętam z lekcji wychowawczych, trudno było z niej coś wyciągnąć na własny temat.

— A inne cechy charakteru?

— Czy ja wiem... — zastanawiała się Madeyska wydaje mi się, że można by ją określić jako ambitną, trochę samolubną, co wynika zapewne z jedyństwa, no i spragnioną miłości rodzicielskiej. Temu trudno się dziwić, zważywszy, że ojca nie znała, a matka, jak mi wiadomo, wcześniej wyszła powtórnie za mąż i nic miała zbyt wiele serca dla córki. Przypuszczam, choć Iza o tym nic wspominała, że ma przyrodnie rodzeństwo...

— Po czym pani tak sądzi?

— Poza tym, że jestem nauczycielką od wielu lat, to sama jestem matką i nie mogę uwierzyć, żeby kobieta mająca tylko jedno dziecko zupełnie się nim nie interesowała, tak jak matka Izy. Musiała swe uczucia macierzyńskie przelać na młodsze potomstwo. To zapewne spowodowało kompleks u Dreckiej.

Hrlich podziękował wychowawczyni i udał się do kancelarii szkolnej. Niestety, tutaj bałagan w dokumentacji był taki, że mimo godzinnych blisko poszukiwań, nie udało się ustalić sekretarce miejsca stałego zameldowania Dreckiej w N.

* * *

Fragment pewnej rozmowy telefonicznej:

— Czy to 21-311?

— Tak. 21-311.

— Szkoda, bo mnie interesują wyłącznie ratlerki.

— Cóż ty sobie wyobrażasz, dlaczego" dotąd nic zadzwoniłaś?

— Miałam kłopoty.

— Znowu?

— Z Jurkiem.

— Co się stało?

— Wyobraź sobie, że wczoraj trafił na wytrzeźwiałkę!

— Tylko tego brakowało! Nabuzowany?

— Na szczęście nie. Wypili u nas w chacie we dwóch z Józkiem pół litra. Potem Jurek urwał mi się i skoczył na róg po papierosy. Tam przed knajpą była jakaś rozróżba i Jurek od typa dostał w głowę, tak że się przewrócił. W tym momencie przyjechały gliny i zgarnęły wszystkich. Rano na komendzie wyjaśniło się i jego puścili, a tamtych na kolegium.

— Hej, a on cię przypadkiem nie buja? Czy, czasem nie włączył się sam do akcji?

— Na pewno nie!

— Oj, coś za bardzo mu wierzysz. To mi się nie podoba.

Scena zazdrości?

Pogadamy, jak będzie po akcji. Na razie odbierz następne instrukcje. Trochę się boję.

— To powinno być po raz ostatni. Czytałaś „Echo”?

— Owszem. Przypuszczam, że to pic na wodę. Ale rysopis pasowałby do Jurka?

— I do połowy mężczyzn w tym mieście. Ale Jurek jest podminowany. Muszę mu dawać środki uspokajające, bo się boję, żeby nie strzelił jakiegoś głupstwa.

Dobrze. Muszę kończyć. Trzymaj się, malutka.

— Cześć.

W gabinecie zastępcy komendanta gęsto było od tytoniowego dymu, ale nikt jakoś nie pomyślał o otwarciu okna.

— To wszystko nie jest takie wesołe, towarzysze — kontynuował Biskupski. — Od ostatniego napadu minęło dziesięć dni, a nasze dochodzenie posunęło się naprzód tyle, co kulawy zółw. Erlich, co z tą pielęgniarką?

Porucznik zreferował swoje ustalenia z pobytu w szkole Dreckiej.

— I co. zapadła się pod ziemię? A centralne biuro adresowe? Mam cię uczyć?

— Już wysłałem teleks.

— A jak nie da rezultatu. to szukać przez wydział kryminalny. Trudno, niech zatrzymają. Ustal adres matki, może po prostu jest u niej?

— To, niestety, dość trudne. Matka wyszła za męża i z pewnością zmieniła nazwisko. Najpierw trzeba by poszukać ciotki. Tylko ciekawe, w jaki sposób, skoro nic, literalnie nic o niej nie wiemy.

— Co ty na to, Skrobot?

— Trudne, ale nie niemożliwe. Myślę o matce. Trzeba sprawdzić w urzędach stanu cywilnego zapisy ślubów z odpowiednich lat. gdzie oblubienicą była Maria — primo voto Drecka.

— No widzicie, poruczniku.

— A co z Kwaśniewskimi? — spytał Skrobot.

— Jutro wraca ze zwolnienia Majewski. Dotąd nie miałem czasu...

— Koniecznie trzeba poszukać wśród ich znajomych takich, którzy wiedzieli o pieniądzach, o miejscu przechowywania...

— Dobra — przerwał pułkownik. — Wystąpiłem do Komendy Wojewódzkiej o oddelegowanie ciebie do tej sprawy i zgodzili się. Przejmiesz dochodzenie. Chyba że nie chcesz wrócić „na chwilę” pod moje rozkazy?

— Też coś, pułkowniku!

— No to bierz się do roboty. Przed końcem urzędowania chcę cię widzieć u siebie z konkretnym programem.

— Tak jest.

— Chyba nie masz mi tego za złe, stary? — zwrócił się Skrobot do Erlicha, gdy razem wychodzili z gabinetu pułkownika — to naprawdę nie był mój pomysł, i nie bardzo mi na rękę.

— Skąd, kapitanie. W końcu gdzież mojemu doświadczeniu równać się do pańskiego!

— No to przestańmy sobie „panować”, mimo braku formalnego bruderszaftu.

— Z przyjemnością.

— Odrobimy to po zamknięciu sprawy.

— Oby jak najszybciej, ale na razie nic na to nie wskazuje

— Uszy do góry. W końcu musi się coś przejaśnić. Zastanawia mnie tylko ciągle jedna kwestia...

— No?

— Czy oni rzeczywiście gotowi byłiby porwać dziecko, gdyby odmówiono ich żądaniom?

— Rzeczywiście ciekawe.

— Bo przecież to nie jest taka prosta sprawa, pomijając zagadnienie etyczne. Dziecko to nie szpilka. Trzeba mieć odpowiednią bazę do jego przechowania, nie mówiąc o kłopotach z transportem „małego towaru”. A przecież żyjemy w społeczeństwie ludzi ciekawych i w jakimkolwiek otoczeniu nagle pojawienie się dziecka, już bądź co bądź wywołanego, musi wzbudzić zainteresowanie.

— Myślę, że nie jest tak źle — rzekł po namyśle Erlich — znam dobrze tutejszy teren i znalazłoby się parę tak odosobnionych domostw w pobliżu N., w których można by z powodzeniem zamelinować małe przedszkole i nikt nic zwróciłby uwagi. Gdyby oczywiście porywacze dysponowali transportem do dostawy zaopatrzenia.

— Więc znowu wracamy do kwestii transportu? Jak myślisz, Jasiu, tutejsi chłopcy z „drogówki” znają dobrze wszystkie miejscowe samochody, co?

— O, na pewno. Ciągle przecież kręcą się po trasie.

— Warto by z nimi pogadać, czy w ostatnim okresie nie pojawił się w N. jakiś obcy samochód. Zakładając, że mają swój wóz, wiedzielibyśmy, czy ferajna jest miejscowa, czy przyjezdna.

— W porządku. Załatwię to.

— Potem, razem z Majewskim, weź się za miejscowy USC, a jeśli to nic da rezultatu, to trzeba będzie zwrócić się do Krakowa.

Notatka w „Echu Południa”

Wypadek na szosie „W dniu wczorajszym na odcinku szosy pomiędzy Piaskami a N. zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Samochód osobowy marki „Warszawa” potrącony został od tyłu przez inny pojazd i wpadł do rowu. Kierowca warszawy Z.K. w stanie krytycznym przewieziony został do szpitala w Srebrnej Górze, gdzie zmarł nie odzyskawszy przytomności. Ktokolwiek był świadkiem wypadku, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Miejską MO. -tel. ... lub najbliższą jednostką Milicji Obywatelskiej”.

* * *

Meldunek służby ruchu MO zawierał znacznie więcej szczegółów, niż lakoniczna notatka w miejscowej gazecie. Wypadek zdarzył się cztery kilometry za Piaskami, naprzeciw parkingu ośrodka wypoczynkowego, na zalesionym -starodrzewiem wzgórzu (szosa łącząca Piaski z N. była fragmentem trasy międzynarodowej). Kierowca warszawy, Zbigniew Krupa, leżał niemal na środku jezdni, na wznak, jego samochód zaś o 18 metrów dalej, w prawym przybrzeżnym rowie, kołami do góry. Lewa strona bagażnika warszawy była wyraźnie wgnieciona, a światło i kierunkowskaz z tej strony roztrzaskane. Prawa strona nie doznała żadnych uszkodzeń. Lewe przednie drzwi były otwarte, zgniecione od góry, pozostałe zamknięte i zablokowane. Na szosie stwierdzono ślady hamowania. Zabezpieczono również kawałki rozbitego czerwonego szkła i odpryski lakieru (w kolorze żółtym i czerwonym), których największe skupisko znajdowało się w odległości 5 metrów przed leżącym kierowcą.

Do meldunku dołączony był szkic sytuacyjny sporządzony przez funkcjonariusza z obsługi radiowozu, który zjawił się tam mniej więcej dwadzieścia minut po wypadku. Czas ten ustalono na podstawie telefonu ze szpitala, w którym znalazł się pokrzywdzony. Zawiózł go tam jadący żukiem w stronę N. niejaki Stanisław Przewała. Zeznał on, że w chwili dojeżdżania do miejsca wypadku widział w odległości około 300—400 metrów czerwone światła jadącego w tym samym kierunku samochodu. Po przywiezieniu rannego chciał natychmiast udać się w dalszą drogę, ale zbiegiem okoliczności w pobliżu Izby Przyjęć znajdował się akurat funkcjonariusz MO, przebywający w tym szpitalu na leczeniu. Zbliżywszy się do Przewały poczuł od niego odór alkoholu. Poleciał mu więc pozostać na miejscu, aż do przyjazdu patrolu MO, zatrzymując mu jednocześnie prawo jazdy. Wychodził bowiem z założenia, że to on sam mógł spowodować wypadek. Po przyjeździe radiowozu poddano podejrzanego badaniu za pomocą probierza alkoholowego. Ponieważ próba wypadła dlań niekorzystnie (zabarwienie, balonika) na miejscu pobrano od Przewały krew na badanie metodą Widmarka. Później okazało się, że zawiera ona 1,4 promille alkoholu. Podejrzanym zatrzymany został do dyspozycji prokuratora.

Podpułkownik Biskupski czytał ten meldunek z ubiegłej doby (jak podobne co rano) bez zbytniego zainteresowania. Piractwo drogowe, powodowane głównie pijaństwem kierowców, stało się zjawiskiem na tyle częstym, że spowszedniało również organom ścigania. Ożywił się jednak wyraźnie przechodząc do ostatniego akapitu: „Przeglądając dokumenty znalezione przy denacie stwierdzono na podstawie licencji i karty rejestracyjnej, że Zbigniew Krupa nie był właścicielem taksówki (tu numer rejestracyjny), numer boczny 3, lecz należała ona do...

W tym miejscu Szeryf aż gwizdnął sięgając po słuchawkę telefonu wewnętrznego.

* * *

W przeddzień nieszczęsnej kraksy taksówki porucznik Erlich po bezowocnym wertowaniu akt w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego znalazł się w Krakowie w poszukiwaniu rodzicielki Izabeli Drekiej. Jadąc do tego najbliższego N. miasta wojewódzkiego nie był w najweselszym nastroju. ..Przecież — myślał

— matka tej salowej mogła wziąć ślub w pierwszym lepszym Pcimiu. Fakt, że Iza tłumaczyła się w szkole wyjazdem do Krakowa, o ile nie był zmyślony, wcale nie świadczył, że właśnie w tym mieście jej matka miała zawrzeć powiernic związek małżeński".

Ale w tym wypadku szczęście dopisało porucznikowi. Po parogodzinnym wertowaniu dokumentów (przy wydatnej pomocy kolegów z Krakowa) w kilku urzędach stanu cywilnego podwawelskiego grodu, w jednym z nich natrafiono na zapis aktu małżeństwa Marii z. Jakubiaków primo voto Dreckiej z Julianem Adamskim, z zawodu technikiem elektrykiem. Elektryków Julianów Adamskich nie było na szczęście wielu w Krakowie, tak że wczesnym popołudniem porucznik Erlich siedział już przy herbacie z matką i ojczymem poszukiwanej dziewczyny. Herbatę zaś i w miarę przychylnie przyjęcie państwa Adamskich uzyskał po zapewnieniu, że chodzi o pewne ustalenia w dochodzeniu w jednej sprawie i że Iza o nic, jak dotąd, nie jest podejrzana i potrzebne jest tylko jej zeznanie.

Julian Adamski, człowiek starszy, spokojny i zrównoważony, zrobił na poruczniku dobre wrażenie. Jego żona zresztą też, z tym, że widać było znaczną różnicę temperamentów małżonków. Adamska była roztrzęsiona, co Erlich przypisywał głównie jej podenerwowaniu o losy córki, skoro interesuje się nią milicja.

— Tak — mówiła pani Maria. — Iza najpierw mieszkała z nami. Do piętnastego roku życia. Potem nam się urodziło drugie dziecko i w małym mieszkaniu, w pokoju z kuchnią, było już za ciasno pięciu osobom, no a Iza koniecznie chciała iść do ogólniaku...

— Przyznaj, Marysiu, że zdolna była i powinna dalej się uczyć — wtrącił ojczym.

— No tak, zdolna była. Toteż bardzo się ucieszyłam, kiedy moja cioteczna siostra, Regina Zabiello, zgodziła się Izę wziąć do siebie, do N. To przecież prawie nasze rodzinne strony, no i nie tak daleko od Krakowa...

— A często was odwiedzała?

— Z początku tak. Kiedy była w pierwszej i drugiej klasie. A potem zupełnie przestała.

— I nigdy tu nie przyjeżdżała?

— A nie. raz była. O co to jej chodziło, nie pamiętasz, Julek?

— O metrykę.

— A prawda. Ja miałam jej metrykę urodzenia, więc przyjechała po nią. To było jakieś pół roku temu. Mówiła, że potrzebna jej jest do wyrobienia tymczasowego dowodu osobistego, bo szykuje jej się jakaś wycieczka zagraniczna ze szkoły.

— Podobno nie bardzo mogła dogadać się z panem?

— Ze mną? — zdziwił się elektryk. — Wręcz przeciwnie! Ja tam z polskiego i takich innych niewiele umiem, ale co do matematyki, a zwłaszcza fizyki, to sporo jeszcze pamiętam. Zwłaszcza początki. Zawsze zwracała się do mnie o pomoc.

— Prawda — potwierdziła Adamska. — Izka prędzej z mężem dogadywała się niż ze mną.

— No dobrze — przerwał porucznik — widzę, że państwo wciąż macie to samo mieszkanie. Pokój z kuchnią, prawda?

— Oczywiście. Na nowe ciągle czekamy, a tu dzieci podrastają...

— Więc jak przed rokiem zmieściła się tu jeszcze córka?

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Podobno jeszcze przed skończeniem trzeciej klasy z powrotem przeprowadziła się do Krakowa.

— Coś takiego! — wykrzyknęła niemal Maria Adamska. — Pierwsze słyszę. Co ty na to, Julek?

— To chyba jakieś nieporozumienie.

— W każdym razie — kontynuował porucznik — tak wytłumaczyła się w szkole, przerywając po pierwszym półroczu naukę.

— To może coś w szkole jej nic szło? — zaniepokoił się Adamski.

— Wręcz przeciwnie. Wszyscy nauczyciele ją chwalili. A i w internacie źle jej nie było.

— W internacie? To nie mieszkała już u Zabięłowej?

— Nie. Z początkiem poprzedniego roku szkolnego złożyła podanie o internat i dostała miejsce.

— To znaczy, jak zdała do trzeciej?

— Tak.

— Mój Boże, coś podobnego. Toż Renia taki złoty człowiek, że tylko do rany przyłóż, a Izę jak lubiła!! wcale nas o tym nie powiadomiła.

— A może jej córka nie bardzo Izę lubiła?

— Jaka córka?!

— No ta, która za panią Zabięło ostatnio chodziła na wywiadówki do Izy szkoły. Miała jeszcze inne?

— Panie, toż ona sama jak kołek w płocie, stara panna. W młodości jej nie wyszło, narzeczony w stajagu umarł. Panie poruczniku, to musi być jakaś pomyłka, to na pewno nie o moją córkę chodzi. Musi być jakaś inna Iza Drecka! — Maria Adamska zaczęła zdradzać objawy hysterii.

— Maryśka, Maryśka, a weź ty się i uspokój. Jakież to musiałyby być zbieg okoliczności. Data i miejsce urodzenia zgadza się, imiona rodziców też, miasto, do którego chodziła do szkoły, ciotka wreszcie — próbował uspokoić żonę pan Julian. — Tylko na miłość Boga, co się z nią stało?

— Właśnie to próbujemy ustalić. Macie państwo jakieś zdjęcie Izy?

— A jest — wyszochalała przez łzy Adamska — z pierwszej komunii.

— A późniejsze?

— Chyba nie.

— Poczekaj Maryś, jest to zdjęcie zbiorowe, jak skończyła powszechniaka! To z nauczycielami. Chyba go nie zabrała.

W laboratorium zrobią powiększenie — myślał porucznik oglądając dziecięce główki na dużym kartonie — chociaż nie będzie zbyt wyraźne.

— W każdym razie dziękuję państwu. Jak odnajdziemy córkę, to damy znać. Na razie; poproszę o adres pani Zabięło.

— Tylko szukajcie Izy, ludzie kochani!

— Nic innego nie robimy.

— Aha, jeszcze jedno - wrócił od drzwi, niczym porucznik Columbo, --- Córka pisywała do państwa?.

— Oj, bardzo, bardzo rzadko. Ostatnio chyba na twoje imieniny, nie, Maryś?

— Tak. Gdzieś tu nawet ta kartka powinna być... O jest, proszę: „Kochanej Mamie w dniu Jej święta najlepsze życzenia przesyła córka Iza". '

— Pożyczę ją sobie od państwa, de zwrotu oczywiście. I gdyby córka napisała albo' zjawiła się nagle u państwa, to poproszę o natychmiastowy telefon pod ten numer (podał kartkę Adamskiemu). Dla jej własnego dobra. Do widzenia.

Porucznik Erlich zdążył jeszcze na ostatni pociąg do N. i następnego dnia, gdy zadzwonił telefon na jego biurku, mógł po chwili stawić się w gabinecie podpułkownika Biskupskiego.

* * *

U szefa siedział już kapitan Skrobot i z uwagą czytał meldunek służby ruchu. Biskupski wysłuchał relacji Erlicha z pobytu w Krakowie nie przerywając ani słowem. Kiedy skończył, Skrobot podał mu meldunek „drogówki". Po przeczytaniu twarz . porucznika wyraźnie pobrała. Chwilę panowało milczenie, które przerwał Skrobot.

— Nie wpłynęło żadne doniesienie o kradzieży samochodu?

— Jak dotąd, nie. Kazałem niezwłocznie meldować — rzekł pułkownik. — Proponuję następujący plan operacyjny. Najpierw dokładna ekspertyza mechaniczna obu samochodów, z udziałem rzeczoznawcy' PZMot-u. ? — Zaraz. wydam odpowiednie polecenie — wtrącił Skrobot.

— Dobra. Czy sierżant Majewski jest na służbie?

— Tak jest — rzekł Erlich.

— Musi natychmiast jechać do Piasków i przywieźć Kwaśniewskiego. Jeśli nie zachodzi przypadek kradzieży, to musiał swoją taksówkę dać Krupie,

Erlich wyszedł z gabinetu.

— Przepraszam, pułkowniku, kiedy będzie wynik sekcji?

— Dziś jeszcze.

— Mimo to pojedę do tej Srebrnej Góry. To daleko?

— Jakies dwa kilometry przed Piaskami. Szpital przeciwgruźliczy, ale ma oddział chirurgiczny.

Wrócił Erlich.

—Najpierw zadzwoniłem do mieszkania Kwaśniewskiego. Nikt nie odbiera telefonu. Ale Majewski pojechał, a on go wydobędzie choćby spod ziemi.

— Czy ktoś dokonał autopsji zwłok?

— Nie, bo kiedy? Ale wiem, o czym myślisz, Skrobot. Pomyłka wykluczona. Krupa miał świeże prawo jazdy z całkiem aktualnym zdjęciem, a jego twarz w wypadku nie uległa uszkodzeniu. To nie Kwaśniewski wypadł z samochodu. Ale do szpitala jedźcie.

— I przy okazji obejrzę sobie to miejsce wypadku.

— Ale najpierw trzeba przesłuchać tego, jak mu tam, Stanisława Przewałę. Kazałem już go sprawdzić. Papiery ma czyste, opinię też niezłą, choć czasami zagląda do kielicha. Ale niewykluczone, że ma powiązania z naszą szajką niedoszłych porywaczy.

— Jeśli to nie był przypadek... — zaczął Erlich.

— ...to przypisujesz sobie odpowiedzialność za skutki tego anonsu w gazecie? — wpadł mu w słowo Szeryf. — Nic, bracie, wszyscy popełniliśmy błąd. Również ja, że się na to zgodziłem.

— Nie, pułkowniku — wtrącił Skrobot. — Tu nie można mówić o czyjejkolwiek winie. Nikt nie mógł przypuścić, że tak zareagują. Zresztą wcale mi to do ich metod nie pasuje. Zupełnie, jakby to zrobił kto inny. Wydawało się, że unikają mokrej roboty. Wystarczyło przecież mocniej stuknąć; Kwaśniewską.

— Nie mieli potrzeby, wiedzieli, gdzie jest forsa. A tu jeszcze Kwaśniewski mógł rozpoznać dziewczynę, którą wiozł do lecznicy zwierząt. — No dobra, Skrobot. Bierz Przewałę, a ty, Erlich, idź dalej śladem tej Dreckiej. Myślę, że Zabiełową łatwo znajdziesz.

— Jeszcze jedno, panie pułkowniku. Przywiozłem z Krakowa próbkę pisma Dreckiej. W szpitalu jest jej własnoręcznie pisany życiorys i podanie. Warto przeprowadzić ekspertyzę grafologiczną obu pism, żeby już nie było żadnej wątpliwości, że to ta sama osoba.

— W porządku, sprawdzimy to.

* * *

Fragment zapisu magnetofonowego z przesłuchania Stanisława Przewały:

Pytanie: — Miejsce pracy?

Odpowiedź: — WPHW w N-, kierowca.

P. — Od dawna?

O. — Już pięć lat będzie w styczniu.

P. — Jakim samochodem jeździcie?

O. — Ostatnio żukiem.

P. — Opowiedzcie cały przebieg zdarzenia.

O. — Więc wyjechałem po towar do Warszawy na wieczór, żeby w hurtowni być już o siódmej rano. Wtedy jeszcze idzie coś załatwić szybko, a tak to się czeka. No i nie dojeżdżając do Piasków, na górce, tam gdzie po prawej jest taki parking dla turystów, w pewnym momencie zobaczyłem na szosie człowieka. Zatrzymałem się. Krwi nie było widać, więc pomyślałem, pijany zasnął...

P. — Dlaczego pomyśleliście, że pijany, a nie, powiedzmy, potrącony przez jakiś samochód?

O. — Bo przede mną nie leciał żaden wóz. Nim się wjedzie na tę górkę, to przedtem jest taki parokilometrowy odcinek prostej drogi i nikt mnie nie mijał, ani nie wyprzedzał, a i przed sobą nie widziałem żadnych świateł. Dopiero na górce, jak zatrzymałem się przy ofierze wypadku, zauważyłem w oddali dwa czerwone światła; widać musiał wyjechać później z jakichś zabudowań, bo tam nie ma żadnych bocznych dróg. Albo to był ten, co go stuknął.

P. — Dobrze, i co dalej?

O. — Więc jak podszedłem do niego, a światła krótkie miałem włączone, to widzę parę metrów obok — warszawa na dachu. No to ja go za rękę — patrzę, ciepła. Nachyliłem się — oddycha. Czekać na jakąś pomoc nie było sensu — bo teraz po sezonie, wieczorem mało kto jeździ. Więc zdjąłem boczną ławkę i najostrożniej, jak tylko można, ułożyłem go na niej i przeciągnąłem na tył wozu. Potem, z dużym wysiłkiem, udało mi się położyć go na podłodze.

P. — Czy ranny był przytomny, mówił coś?

O. — Skąd, ledwie zapał. Ale żadnych ran na wierzchu nie miał.

P' — I co dalej?

O. — Najpierw chciałem zawrócić do N., ale potem przypomniałem sobie, że parę kilometrów stąd jest ten szpital gruźlików i tam mu udzielą pomocy.

P. — Która wtedy była godzina?

O. — A bo ja wiem? Nie spojrzełem na zegarek, ale do Piasków jedzie się niespiesznie 20 minut, ja jechałem wolno, a wyjechałem o dwudziestej pierwszej.

P. — Piliście coś tego dnia?

O. — Nic, panie kapitanie. W ten dzień tylko piwo wypilem...

P. — Każdy zawsze mówi o piwie.

O. — Bo kaca miałem, a poprzedniego dnia wieczorem trochę zaprawiłem u kolegi. A to dlatego, że miałem mieć dzień wolny. A tu przed trzecią dyrektor gońca przysłała, że kolega, który miał jechać, zachorował. Więc idę do dyrektora i mówię, że od wczoraj jeszcze mi nie przeszło. To on na to, że podbramkowa sytuacja. Obwąchał mnie, dał na kawę i kazał iść spać, żeby do wieczora wywietrzało ze mnie wszystko. To co miałem robić? Odmówić? Przecie nie będę zadzierał z własnym naczelnym. Każdy chce żyć.

P. — To dlaczego chcieliście szybko zwać przed szpitala?

O. — Ale tam, zwać. Przecież ten niby milicjant był w pizamie i wcale się nie wylegitymował. A ja z tego wszystkiego tak zgłupiałem, że dałem mu swoje prawko i kartę drogową.

P. — No i dobrzeście zrobili. To przemawia na waszą korzyść. Prawo jazdy na razie zatrzymamy, a wy jesteście wolni, tylko nie możecie opuszczać miasta.

O. — Dziękuję, panie kapitanie.

P. — Aha, jakiego koloru jest wasz żuk?

O. — Jasnoniebieski.

P. — A zderzaki?

O. — Normalne, chromowane.

P. — Dziękuję, to wszystko.

* * *

Ekspertyza rzeczoznawców w zasadzie potwierdziła fakty zawarte w meldunku drogowców, dodając kilka szczegółów. Warszawa uderzona została od tyłu, w lewy błotnik, prawdopodobnie przez żuka lub nysę. Stała wówczas w miejscu oznaczonym na szkicu jako największe skupisko szkła i lakieru. Szkło pochodziło z lewego światła postojowego, odpryski lakieru zapewne z błotnika samochodu uderzającego. Charakter wgniecenia błotnika wskazuje na to, że nie bezpośrednio uderzył ów zderzak, ale poprzez jakąś materię miękką, być może ciało ludzkie, a samochód taranujący nic posuwał się ze zbyt wielką prędkością, najwyżej około 50 kilometrów na godzinę. Następnie ofiara wypadku odrzucona została kilka metrów do przodu i zręcznie ominięta przez ów pojazd, o czym świadczą ślady ostrego skrętu na asfalcie. Dostrzeżone ślady hamowania nie należą do samochodu, który spowodował wypadek, gdyż kończą się poza jego miejscem.

Badana warszawa miała włączony pierwszy bieg, więc nie jest wykluczone, że z chwilą uderzenia silnik zaskoczył i po przejechaniu kilkunastu metrów samochód bez kierowcy stoczył się do prawego, dość głębokiego w tym miejscu rowu, i wywrócił się na dach.

Za tym, że rolę amortyzatora spełniło ciało kierowcy, przemawia wynik badań mikroskopowych nitek odnalezionych w dociśniętym zderzaku warszawy do kufra, a pochodzących z materiału, z którego uszyta była marynarka denata. Wnioskować z tego można, że kierowca w momencie wypadku znajdował się za samochodem, po jego lewej stronie w pozycji kucznej lub klęczącej.

Na samochodzie należącym do WPHW (jasnoniebieski żuk) nie stwierdzono żadnych śladów świadczących o kolizji tego pojazdu z jakąś przeszkodą. Obok podpisów specjalistów ruchu drogowego MO widniał podpis inżyniera Z. — wybitnego eksperta od spraw samochodowych w skali krajowej.

* * *

Sierżant Majewski dopiero pod koniec urzędowania zjawił się w komendzie, w towarzystwie Zenona Kwaśniewskiego, w Piaskach go nie było, gdyż poprzedniego wieczoru wraz z żoną i synkiem udał się do teściów, na wieś odległą, od Piasków o dwa kilometry. Długo wiec musiał się wypytywać sąsiadów i kolegów taksówkarza, gdzie go może znaleźć. Teściowie Kwaśniewskiego obchodzili tego dnia srebrne wesele, wice rodziny i znajomych zeszło się tam sporo. Uroczystość, rodzinne pogawarki, a także mnogość jadła i napitku wykluczały czytanie gazet, tak że taksówkarz nic nie wiedział o wypadku swojej taryfy. Sierżant, zgodnie z poleceniem, nie rozmawiał z nim na ten temat. Sprawa wyjaśnić się miała dopiero w pokoju Erlicha, gdzie wraz z kapitanem Skrobotem przesłuchano Kwaśniewskiego. Gdy dowiedział się z ust kapitana o zaistniałym wypadku, załamał się całkowicie:

— Zgubiłem chłopaka. To przeze mnie, a właściwie za mnie on zginął. To ja miałem być tą ofiarą wypadku.

— Niech pan mówi wyraźniej, panie Kwaśniewski.

— Bo to było tak. Trzy dni temu, po południu, jak akurat mieliśmy jechać do teściów, był telefon, że na dwudziestą pierwszą gość zamawia kurs do Srebrnej Góry. tam. gdzie ten szpital. Byłbym odnowił, ale akurat przyszedł Zbyszek Krupa, którego czasem biorę na szmajsera, to znaczy na zmiennika. Jak już jestem bardzo zmęczony, to szkoda, że ten gruchot stoi i nie zarabia. A Zbyszka znam jeszcze z wojska, uczciwy chłopak, nie oszuka na lewych kursach i wóz oszczędza, nie żyłuje. Więc Zbyszek mówi, że może jechać, a po drodze odwiezie nas do teściów.

— To ten klient nie wsiadł w Piaskach?

— Nie, on chciał ze Srebrnej Góry do Piasków, a tam. wiadomo, postoju nie ma i trzeba telefonicznie zamawiać.

— No i co?

— Wiec powiedziałem facetowi, że się zgadzam. Przed ósmą wyjechaliśmy na wieś, tam Zbychu jeszcze kawę wypił, żeby mieć kondycję na całą noc, bo to w zakładach po wypłacie i sporo pasażerów nawet do N. pohulać jeździ, więc zarobić można. A przed dziewiątą, a może trochę później ruszył do tej Srebrnej Góry i go dorwali.

— Proszę, niech pan przeczyta ten wynik ekspertyzy fachowców.

Kwaśniewski zagłębił się w protokole. Gdy skończył, Skrobot zapytał:

— I co pan o tym sądzi?

— Cóż tu sądzić. Wiedzieli, że ich ścigam. Wszystkim kumplom podałem z grubsza rysopis tej dziewczyny. Ona znała mój numer boczny i wygląd. A trzeba dodać, że Zbyszek jest, to znaczy był — poprawił się — trochę podobny do mnie. Tego mniej więcej samego wzrostu i koloru włosów. A i marynarki nasze były podobne. Więc któryś z nich zadzwonił i wywabił go w takie miejsce, gdzie mógł go stuknąć. Potem, to już tylko wystarczyło zatrzymać wóz pod jakimkolwiek pozorem, np. że tablica, odpada z tyłu, a drugi współnik ładuje w niego, jak tylko wyjdzie z wozu.

— To nie takie proste — wtrącił Erlich. — Nikt z przodu nie zatrzyma samochodu, mówiąc, że z tyłu coś nawala.

— Ale może wyprzedzić i zatrzymać, nie?

— A czy to na pewno mężczyzna telefonował, nie kobieta?

— No chyba jeszcze rozpoznam babski głos przez, telefon.

— Cóż, to na razie wszystko. Serdecznie panu współczujemy, panie Kwaśniewski. Stracił pan kolegę, choć tu nie ma pańskiej winy, i warsztat pracy.

— E tam, taki warsztat. Gruchot był ubezpieczony. O Zbyszka mi chodzi.

* * *

To był dla Malewicza prawdziwy wstrząs. Jadąc główną ulicą przez N., dojeżdżając do placu Partyzantów, zobaczył Annę. Zobaczył ją w momencie, kiedy wchodziła do apteki. A ponieważ w tym miejscu nigdzie nie dało się zaparkować samochodu, musiał swoim wartburgiem okrążyć plac i dopiero dwie przecznice dalej, przed sklepem meblowym był plac, na którym można było wóz postawić. Upłynęło więc jakieś 3—4 minuty, nim dobiegł do apteki. Niestety, ludzi w niej było mnóstwo, ale ani śladu Anny. Choć twarz jej zaledwie mu mignęła, nie miał wątpliwości, że to była ona. Ta sama sylwetka, głęboka czerń włosów (musiała ściąć — myślał, bo są znacznie krótsze niż nosiła zawsze), nawet sposób poruszania się. A więc Anna jest w mieście! Nie podjęła próby skontaktowania się z nim, mimo obietnicy. Musiał rzecz przemyśleć jeszcze raz. Nie poszedł więc po samochód, tylko wstąpił do pobliskiej kawiarni. Mimo zapraszających gestów nie przysiadł się do stolika dwóch geszefciarzy, lecz z przepraszającym uśmiechem usadowił się w rogu sali zamawiając dużą kawę!

Więc jest tutaj. Ale gdzie mieszka? Przecież nie ma żadnej rodziny, z nikim nie utrzymywaliśmy tak bliskich kontaktów, żeby prosić choćby o jeden nocleg. Była bez dziecka, więc albo przejazdem, na jeden tylko dzień, albo je u kogoś zostawiła. Na serwetce, posługując się inicjałami, zrobił spis znajomych w tym mieście. Żadna ze znanych mu rodzin nie mogła się w południe zaopiekować chłopcem. Albo jest z kimś, powiedzmy samochodem, z kim mały został, albo czeka w jakimś lokalu. Więc co. jeździć po parkingach i kawiarniach? Nie, to nie miało najmniejszego sensu.

Ale inna sprawa. Jak z tym rabunkiem? Gdyby skrytka była gdzieś na widoku, powiedzmy jakaś kasa pancerna czy kaseta, to napastnik mógłby 'wymusić zdradzenie kodu Otwierającego grożąc porwaniem chłopca, jak w przypadku Wiślickich. Ale przy takim zabezpieczeniu? Ileż by czasu musiała im zabrać taka penetracja domu, żeby wpaść na dobrze zamaskowaną skrytkę? Anna sama im wskazała? Nie, to zupełnie nie pasowało do jej charakteru. Chyba że wyraźnie zażądali dolarów wiedząc, że je ma. Inżynier Trela — elektronik, kolega jeszcze ze szkoły — hobbista pasjonujący się tego rodzaju mechanizmami, od dwóch lat przebywa w Związku Radzieckim. On mu ten zamek zainstalował i pomagał w wykończeniu skrytki, tak że tylko oni dwaj wiedzieli o jej istnieniu. Więc Anna sama albo... albo była w spółce z bandytami, co by tłumaczyło jej pobyt w N. Być może szykują następny napad. Poczul, że krew uderza mu do głowy. Nagle powziął decyzję. Nie dopijając kawy wyszedł na ulicę i spieszenie udał się do miejsca, w którym pozostawił samochód.

Domek Zabięłowej to niemal wiejska chałupka na przedmieściu N. Erlich znalazł gospodynię w sporym ogrodzie grabiącą na stertę nać kartoflaną.

— Ten ogród to mój drugi etat, a właściwie pierwszy. Bo jak się weźmie wysokość renty ze „starego portfela”, to z tego kawałka ziemi więcej mam korzyści. Drzewek owocowych, jak widać, mam niewiele, ale z samych ogórków i pomidorów przez sezon można przeżyć, a i na zimę coś zostanie. A pan to pewnie w sprawie mieszkania? Kawaler pan pewnie, co?

— Kawaler, ale ja nie w tej...

Gadatliwa rencistka nie dała mu jednak dokończyć:

— Już prędzej małżeństwo bym wzięła, nawet z dzieckiem, choć inni zawsze się przed tym bronią. Ale ja dzieci lubię. Może dlatego, że własnych nie mam. Dla mnie siwiej trzy pokoje z kuchnią to za dużo. Dlatego dałam, ogłoszenie do gazety. Tak mi poradziła Izka, siostrzenica.

— Ja właśnie, w jej sprawie.

Wreszcie porucznikowi udało się dojść do słowa i po przedstawieniu się wyłuszczył Zabięłowej cel swojej wizyty. Jak większość ludzi na dźwięk słowa „milicja” zareagowała przestraszeniem, czy aby jej siostrzenicy nic się nie stało lub „czy nie popadła w kolizję z prawem”. Porucznik uspokoił ją jednak.

— Chodzi nam głównie o to — wyjaśnił — że rozpoczęła pracę w szpitalu i przerwała ją po trzech dniach. Dlaczego?

— Tego to już nie potrafię wytłumaczyć. Jak również tego, że porzuciła szkołę niedługo przed maturą. Nie powiedziała mi tego wprost, ale domyśliłam się sama. Jak pewnego dnia, a był to okres wywiadówek, mówi mi, że nie potrzebuję iść., bo ma taką starszą koleżankę, która może mnie zastąpić. Nawet mi to na rękę było, bo ischias akurat mi dokuczał bardzo, ale w tę koleżankę to od początku nie uwierzyłam. Nigdy, jeszcze jak u mnie mieszkała, nie przyjaźniła się z nikim. Nikt do niej nie przychodził.

— A dlaczego się od pani wyprowadziła? Źle jej tu było?

— Własna córka lepiej by nie miała. Tyle że do szkoły stąd daleko i komunikacji nie ma. A ona — mówi — ma różne kółka zainteresowań po południu. W szkole i dwa razy na dzień chodzić to czysta strata czasu. A że jako półsierota internat . powinna dostać, to się tam przeniosła. W niedzielę tylko na obiady przychodziła, ale i to się jakoś urwało. Myślę, że przez tę nową przyjaźń.

— Widziała pani kiedyś tę jej koleżankę?

— Ja tam rzadko do miasta chodzę. Sklep mam po sąsiedzku, listonosz rentę przyniesie, to i po co. Ale kiedyś przypadkowo widziałam je obie na ulicy, z daleka. Myślę, że to właśnie ona.

— Jak wyglądała?

— Wyższa od Izy, czarna, krótkie włosy, no i znacznie od niej chyba starsza. Porządnie ubrana, nie powiem. Sweter — golf niebieski i do tego modne granatowe spodnie. Ale krótko jej się przyglądałam. Może tam, gdzie mieszkała, w internacie, koleżanki lepiej ją znają, choć ona na uczennicę nie wyglądała, prędzej na nauczycielkę.

— A co do tej pracy w szpitalu, wspominała coś pani?

— Nie, chociaż pewnie wzięła tam jakieś pół etatu, bo przecież z samego stypendium utrzymać się trudno. Bo myślę, że przeniosła się do wieczorówki. Ja jej wiele pomóc też nie mogłam, a i od własnej matki pewnie też niewiele otrzymywała. Siostra cioteczna ma już młodsze dzieci i w domu im się nie przelewa. A Iza jest ambitna i pracowita. Jak sobie postawiła jakiś cel, to i młotem jej tego z głowy by nie wybił.

Żegnając się z gadatliwą rencistką porucznik napomknął żartobliwie:

— No a teraz, po naszej rozmowie, dalej nie przyjąłaby mnie pani na sublokatora?

— E, chyba wzięłabym. Z oczu patrzy nieźle, a i sympatycznie się z panem gada. Nie to co z tamtymi dwoma mrukami, co to do człowieka ledwie „dzień dobry” burkną.

— A któż to był?

— Kto ich tam wie. Izami ich poleciła. Że to niby dalsi znajomi, którzy przyjechali na czas zbioru jabłek. W okolicy sporo sadów, a rąk do pracy mało. Więc oni niby rozglądali się za jakimś dobrym ogrodnikiem, żeby się nająć do zrywania jabłek. Ale tak po prawdzie, to chyba tak szukali, żeby nie znaleźć. Bo jak się mieli zatrudnić, kiedy całymi dniami w łóżkach gnili, tylko czasem na podwieczór gdzieś wyszli?

— To ciekawe, co pani mówi. Mogłaby pani ich opisać?

— Czemu nie? Jeden dość przystojny, śniady. Wyglądał na inteligenta, który na złą drogę trafił. Drugi z wyglądu bandzior. Trochę niższy od tamtego, jasne włosy, taka kwadratowa raczej sylwetka i spode łba-
na człowieka patrzył.

— Zameldowała ich pani oczywiście? Zabięłowa zmieszała się lekko.

— Właśnie że nie, panie poruczniku. Mówili, że oni tu na parę dni tylko, ale kiedy minął tydzień, poprosiłam wieczorem o dowody, żeby rano zanieść do administracji. Powiedzieli, że rano zostawią wychodząc. Ale jak rano wróciłam ze sklepu, to już ich nie było. Klucz od domu wisiał na umówionym miejscu, a w kuchni na stole znalazłam kartkę, że właśnie znaleźli w pobliżu gospodarza, który potrzebuje zrywaczy i prócz dniówki daje wikt i mieszkanie. Nie zdziwiło mnie to wcale, bo większość sadowników tak najmuje ludzi. Aha, prócz kartki były też pieniądze za przemieszkany tydzień. Nie powiem, nawet solidnie zapłacili, więcej jak była umowa. Mieli płacić po 50 zł za dobę, więc za tydzień wychodziło za dwóch 600 zł, a oni zostawili cały tysiąc.

— Ma pani może tę kartkę? ?

— A nie, pewnie poszła do pieca. Po co mi szpargały?

— A czy panna Iza odwiedziła ich tutaj?

— Oprócz tego razu, co ich przyprowadziła, nigdy tu nie była. Nie wyglądało na to, że znają się bliżej.

— Nie zostawili jakichś swoich rzeczy?

— A co oni tam mieli. Każdy po torbie, taki worek na sznurku, co to ledwie parę butów i zmianę bielizny zmieści. I tyle co na sobie.

— Jak chodzili ubrani?

— Normalnie, kurtki ortalionowe, jeden zieloną, drugi granatową, spodnie dżinsy, kamasze.

— Zeznania Izy Dreckiej są dla nas bardzo ważne. Jakby tu w najbliższym czasie wpadła, proszę nic mówić jej o mojej wizycie. Być może niepotrzebnie by się denerwowała. Po widzenia; Miło mi się z panią gawędziło.

— Mnie też. Jak pan będzie w tej okolicy, proszę zajrzeć. Przeważnie siedzę w domu.

* * *

W tym samym czasie, kiedy porucznik Erlich gawędził w ogrodzie z Zabięłową, jego starszy kolega kapitan Skrobot jechał do szpitala w Srebrnej Górze. W drodze towarzyszył mu na motocyklu sierżant ze służby ruchu, by wskazać kapitanowi dokładnie miejsce kraksy. Skrobot miał na mapniku szkic sytuacyjny wyrysowany przez „drogowców”. Ze wzgórza, na którym się znaleźli, widać było spory odcinek szosy, zarówno w kierunku Piasków, jak i N. Mógł więc Przewała widzieć oddalające się światła wozu, jak i nie widzieć tychże dojeżdżając do wzgórza — pomyślał. Od strony N. był po stronie prawej zjazd na parking, który mierzył sobie jakieś 150 metrów długości. Przy jego końcu — wyjazd w kierunku Piasków. Sierżant pokazał kapitanowi miejsce ułożenia kierowcy warszawy i położenie przewróconego samochodu.

— Czy dalej w kierunku N. jest sporo zabudowań, skąd mógłby wyjechać samochód, widziany potem przez Przewałę?

— Pomyśleliśmy o tym, obywatelu kapitanie. Na polecenie pułkownika Biskupskiego przeprowadziliśmy wywiad w trzech gospodarstwach ogrodniczych, które znajdują się między tą górką a najbliższym zakretem. Wszyscy właściciele mają samochody. Dwaj — żuki. a jeden warszawę-combi. Jeden z żuków jeszcze do dzisiejszego dnia stoi w warsztacie naprawczym w N., drugi krytycznego dnia pojechał z owocami na Śląsk i wrócił dopiero następnego dnia. co sprawdziliśmy. A z warszawy, według zeznań właściciela, nikt wówczas nic korzystał. Ale ten typ samochodu, o ile mi wiadomo, nie wchodzi w rachubę.

— Tak, istotnie. Zatem dziękuję wam. sierzancie, możecie wracać do siebie.

Ani lekarz dyżurujący w dniu wypadku, ani przeprowadzający sekcję zwłok Zbigniewa Krupy anatomopatolog nie wnieśli nic nowego, o czym nie wiedziałby Skrobot z wcześniejszych meldunków milicji, które nadeszły akurat przed wyjazdem do szpitala.

— Nie miał najmniejszych szans — mówił anatomopatolog. — Serce to pewnie miał jak młot parowy, że żywy dojechał do szpitala. Musiał dostać od tyłu mocne uderzenie, bo wątroba była w strzępach. Wylew wewnętrzny był tak silny, że brzuch urósł mu niemal w oczach. Zresztą wszystko to napisałem w protokole z sekcji.

— Wiem, czytałem.

Nie. mając najmniejszych nadziei na jakiegokolwiek rewelacje Skrobot poprosił w dyrekcji szpitala o skontaktowanie go z tymi osobami z personelu, które były tego wieczora w izbie przyjęć, a potem transportowały Krupę na blok operacyjny.

Dyżurna pielęgniarka nie miała kapitanowi nic interesującego do powiedzenia, natomiast jeden z pielęgniarzy wiozący kierowcę na wózku powiedział: .

—A wie pan, że to dziwne. Przecież on był już. prawie nieboszczyk, ale w pewnym momencie jak gdyby odzyskał przytomność. Otworzył oczy, uniósł się lekko na wózku i coś powiedział, tyle że bez sensu.

—Co to było, niech pan sobie przypomni!

— Kiedy naprawdę trudno. Żadnego w tym ładu ani składu, zaraz, zaraz... Coś takiego: „One były dobre”, nie, „Ono było dobre, nic nie przerywało, sprawdziłem”. Coś w tym sensie. Może niedokładnie, ale tak to jakoś brzmiało.

— To jest dziwny objaw, nie bardzo wytłumaczalny, ale zdarza się czasem — tłumaczył kapitanowi dyżurujący w izbie przyjęć lekarz, którego poprosił o konsultację w tej materii. — Bywa, że człowiek w agonii nagle, na jakiś, zazwyczaj krótki czas odzyskuje przytomność i mówi tak, jakby miał tylko lekką temperaturę przy grypie. A są to nieraz ostatnie minuty lub nawet sekundy jego życia.

A gdyby jakiś sens w tym był? — myślał kapitan wracając ze szpitala do komendy. Przebieg wypadku zaczynał rysować mu się coraz wyraźniej. Tylko te odpryski lakieru. Dlaczego żółte i czerwone? Kto może tak malować przód samochodu? Prywaciarz? Chyba nie. Gdzieś jednak widział takie zestawy barw, tylko gdzie?

Wchodzącego do komendy Skrobota przy dyżurce zatrzymał podoficer dyżurny:

— Już od dwóch godzin czeka na obywatela kapitana niejaki Kazimierz Malewicz. Mówi, że koniecznie musi mówić z oficerem prowadzącym dochodzenie w sprawie usiłowania uprowadzenia dzieci. Porucz-

nika Erlicha jeszcze nie ma, więc kazałem mu czekać na obywatela kapitana. Siedzi w korytarzu na pierwszym piętrze.

— Dobrze, dziękuję.

Naprzeciw pokoju, który dzielili z Hrlichem, siedział zażywny, nie pierwszej młodości mężczyzna, którego Skrobot, był tego pewien, widział po raz pierwszy.

— Proszę, niech pań wejdzie — przepuści! pétenla przed sobą otwierając drzwi. Można wiedzieć o co chodzi?

— Chcę złożyć ważne zeznanie dotyczące usiłowań uprowadzenia dzieci w naszym mieście.

— Skąd ta liczba mnoga? Prasa podawała o jednym przypadku.

— Tak, ale mój był drugi, albo raczej pierwszy. No i z notatki o napadzie na żonę taksówkarza domyślałem się, że tu również może chodzić o to samo. Ale chyba będę musiał zacząć od początku.

— Wie pan co — przerwał kapitan — dla ułatwienia sprawy nagramy sobie naszą rozmowę na magnetofon. Potem to, co najistotniejsza ujmie się w protokole, po co ma pan dwa razy powtarzać.

Malewicz zaczął mówić. Kapitan nie przerywał tego dawno powstrzymany potoku słów. Kiedy po półgodzinie skończył, chwilę panowało milczenie. Przerwał je w końcu Skrobot:

— Może zaczniemy operować datami. Ogłoszenie o napadzie na Wiślicką ukazało się dziewiętnastego października, a kiedy opuściła pana żona?

— Zaraz... To chyba było następnego dnia. Nie, na trzeci dzień, dwudziestego pierwszego. Wtedy właśnie wróciłem do domu po wódcę i żona nie chciała ze mną rozmawiać. A poprzedniego dnia, jeszcze przy kolacji, rozmawialiśmy na temat tego wypadku. Pamiętam, że Anna powiedziała wtedy: „To okropne, dla mnie taki — gorszy niż morderca”.

— Czy ta zbieżność dat osiemnastego rabunek u Wiślickich, dwudziestego pani Anna oznajmia, że jest szantażowana, a dwudziestego pierwszego wyprowadził się z domu, nie zwróciło pańskiej uwagi?

— Byłem tak załamany niespodziewanym odejściem Anny, że nie skojarzyłem sobie tego.

— Kiedy po raz ostatni otwierał pan skrytkę? Po chwili, po przeczytaniu kartki od niej.

— Nie, chodzi mi o okres poprzedni.

— Bo ja wiem... Jakiś miesiąc temu albo i dawniej.

— Zależy mi na ustaleniu chronologii wypadków. Zakładając że pani Anna — A propos, jakiego używała nazwiska?

— Po mężu była Chodkiewicz, ale po rozwodzie powróciła do panieńskiego — Zębowska.

— Zakładając, że z napastnikami nie miała nic wspólnego, ich wizyta w pańskim domu mogła nastąpić dziewiętnastego lub dwudziestego października. Ale mógł pan również być pierwszym z tej serii, a Zębowska ukryła ten fakt przed panem.

— Stąd mogło pochodzić jej nienaturalne zachowanie przed odjazdem.

— No tak, ale takie ukrywanie na dłuższą metę było ryzykowne. Przecież w każdej chwili mógł pan zajrzeć do sejfu i stwierdzić brak pieniędzy.

— Teoretycznie tak, ale w praktyce wiedziała, że nieczęsto to robię. Wiedziała też, że na razie nie mam kontrahenta do wymiany samochodu, a całej sumy nie mogę przeznaczyć na kupno wozu w Peweksie, myśląc o mieszkaniu w Warszawie. Zresztą i tak sporo bym musiał jeszcze doodkładać.

— Czy dawał pan ogłoszenie do prasy o wymianie samochodu?

— Tak. Przed trzema miesiącami ukazało się w „Echu”.

— Jakiej treści?

— „Zamienię wartburga w dobrym stanie, rok produkcji 1970, na samochód wyższej klasy. Dopłata do uzgodnienia”.

— Sygnalizując w ten sposób, że może ona być w formie bonów lub dolarów?

— No... tak.

— Czy nadeszła jakaś oferta?

— Nie było żadnej.

— Ale przyjmijmy inną wersję. Zębowska współdziałała z napastnikami dzieląc się uzyskaną kwotą. Potem, spłoszona następnym napadem, zwija żagle, bo nie wie, czy śledztwo nie ujawni jej uczestnictwa w sprawie. Dlaczego więc teraz ryzykuje przyjazd do N.? Gazeta nasza wprawdzie ma zasięg lokalny, ale poprzez prenumeratę czy kluby „empiku” jest praktycznie dostępna w całym kraju. Jeśli Zębowska jest zamieszana w aferę, to z pewnością śledzi dalsze wypadki w naszym mieście i kojarząc niedawny napad na Kwaśniewską bałaby się przyjeżdżać, nie sądzi pan?

— Istotnie. Ale to musiała być ona.

— Nie wspominała panu o jakiejś rodzinie?

— Nigdy.

— Czy nazwisko Izabela Drecka mówi coś panu?

— Nie. Pierwszy raz je słyszę.

— A co pan robił osiemnastego wieczorem?

— W dniu napadu na Wiślickich?

— Tak.

— Chyba jak zwykle oglądałem telewizję albo czytałem książkę. Nawet razem z Anną nieczęsto wychodziliśmy z domu. Nie mamy dużego kręgu przyjaciół czy bliższych znajomych.

— Bardzo źle pan zrobił, panie Malewicz, dopiero teraz zgłaszając się do nas.

— Wiem, ale myślałem ciągle, że to nieporozumienie jakoś się wyjaśni. Że Anna, jeśli nie wróci, bo na przykład znalazła sobie kogoś innego, młodszego ode mnie, to przynajmniej napisze i wyjaśni mi sytuację. Dlatego zwlekałem.

— No nic, udamy się do pańskiego domu z ekipą dochodzeniową. Może nie wszystkie ślady udało się panu zatrzeć. Czy ma pan jakieś zdjęcie Anny Zębowskiej?

— Żadnego. Wszystkie dokumenty zabrała z sobą, a amatorskich fotografii nigdy nie robiliśmy.

— Wobec tego najpierw poproszę pana piętro wyżej do naszego rysownika. Musi pan podać możliwie jak najdokładniejszy rysopis Anny, by mógł zrobić jej portret pamięciowy.

— Każdy szczegół jej twarzy, ciała, mam tak zakodowany w pamięci, że nie sprawi mi to większych trudności.

— Tym lepiej.

Mniej więcej po godzinie znaleźli się wraz z technikami w willi Malewicza. Zgodnie z przypuszczeniami Skrobota znalezienie odcisków palców Zębowskiej było zadaniem niewykonalnym. Wszystkich przedmiotów, na których mogła zostawić ślady linii papilarnych, wielokrotnie dotykał właściciel mieszkania. ? Jedynym sukcesem było znalezienie w szafce łazienki dawno nie używanego grzebienia Anny, w którym tkwiło kilka włosów. Ale nie było na nim odcisków palców.

Już mieli opuścić dom, gdy kapitan wpadł na pewien pomysł:

— Panie Malewicz, czy przypadkiem gdzieś w rupieciach nie zostawiła pani Zębowska jakiegoś drobiazgu, którego powiedzmy nie lubiła, więc zapomniała go zabrać?

— A wie pan, owszem. Przed rokiem podarowałem jej na imieniny srebrną puderniczkę. Spodobał mi się ten drobiazg w „Desie”, ale Anna nie używała jej wcale, bo nigdy się nie pudrowała. Powinna być tu gdzieś w tej szufladzie, bo ją niedawno widziałem...o, jest!

— Stop, proszę tego nie brać do ręki — zatrzymał Malewicza technik. Wziął cacuszko poprzez bibułkę i dokładnie obsypał obie strony proszkiem

— Zobaczymy, może coś z tego wyjdzie.

* * *

Następnego dnia obaj oficerowie siedzieli na naradzie u zastępcy komendanta zdając szczegółowe relacje z dotychczasowych ustaleń czynności przygotowawczych. Oprócz nich w gabinecie znaleźli się porucznik Zawilski z Wydziału "Zabójstw Komendy Wojewódzkiej oraz. kapitan Sołonowicz, szef Służby Ruchu Komendy Miejskiej. Podpułkownik Biskupski przerywał od czasu do czasu swoim podwładnym zadając pytania o niektóre szczegóły. Na koniec przesłuchano z magnetofonu rozmowę Skrobota z Malewiczem, którą kapitan uzupełnił informacją o odkryciach w domu budowniczego.

— W porządku — rozpoczął Szeryf właściwą naradę. — Ustalmy, że tak powiem, „stan posiadania wiadomości. Ekspertyza grafologiczna potwierdziła ostatecznie to, co zakładaliśmy wcześniej — to nikt inny, tylko Izabela Drecka była salową przez pięć dni w szpitalu miejskim, na oddziale doktora Wiślickiego. Po to tylko, by zorientować się w jego rozkładzie dnia i zwyczajach szpitalnych, aby móc go wywabić z domu nie wzbudzając podejrzeń. Ona też zapewne unieruchomiła samochód lekarza, aby współnikom pozostawić czas do podjęcia okupu czy ewentualnego wymuszenia tegoż od jego żony. Wiślicka., jak się okazało, była na tyle przerażona, że czasu na całą operację mieli aż nadto.

Założmy na razie, że to był wypadek pierwszy, co do sprawy Malewicza zaraz wrócimy.

Wypadek drugi, napad na żonę taksówkarza. Nie stwierdzamy przygotowanej penetracji terenu, bo w takiej dziurze, jak Piaski, to dość trudne. Tam każdy obcy rzuca się w oczy. A mimo to napastnicy wiedzą, że ma w domu pieniądze. Skąd? Co łączy oba przypadki, to znów osoba Dreckiej, która posłużyła za wabia,

by Kwaśniewski nie mający w zasadzie określonych godzin pracy nie zaskoczył przypadkiem „kidnaperów” w domu. Mówiąc o kidnaperach używam cudzysłowu, bo podzielałam w tym wypadku wątpliwości Skrobota, czy bandyci zdecydowaliby się na porwanie.

No i trzeci, a być może pierwszy chronologicznie i najtrudniejszy wypadek — w domu Malewicza. Są dwie wersje: albo Zębowska jest ofiarą, albo współuczestniczką. Za tą drugą ewentualnością przemawia fakt jej nagłego odejścia od człowieka, z którym żyła cztery lata, pozostawienie w sejfie 3 tysięcy (poprzednio, przypominam, nie gardzili nawet setką, zabierając wszystko), no i zerwanie kontaktów, żeby nie powiedzieć — ukrywanie się przed Malewiczem.

Ale słuchając nagranej rozmowy kapitana nasunęła mi się wersja trzecia — kontynuował Biskupski — że Zębowska mogła być współuczestniczką i ofiarą jednocześnie. Paradoks? Może tylko pozornie, choć przyznaję, że jest tu pewien element fantazji. Ale dlaczego fantazja ma być tylko przywilejem młodych? Pozwólcie więc staremu Szeryfowi popuścić wodze wyobraźni.

Podwładni uśmiechnęli się, a Skrobot nie bez zdziwienia zauważył, że Biskupski po raz pierwszy nazwał siebie swym pseudonimem.

— Ale bez żartów. Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Drecka może być szefem, „mózgiem” tej szajki? Z charakterystyk, jakie uzyskaliście, wynika, że raczej nie. Może mózgiem w sensie wymyślania akcji, ale nie szefem — rozkazodawcą. Musi być więc ktoś czwarty. Kto? A może jest nim właśnie Malewicz, który serię napadów rozpoczął od siebie, a potem w jakiś sposób pozbył się swej partnerki życiowej, która go rozszyfrowała. A dalszymi „skokami” kieruje poprzez Drecką. Zastanówmy się nad tym. Co wy na to, poruczniku Zawilski?

— Teoretycznie jest to możliwe. Trzeba by jednak mieć opinię grafologów, czy pozostawiony Malewiczowi list od kochanki jest autentyczny.

— Niestety, oprócz niego nie dysponujemy żadną próbką pisma Zębowskiej.

— To o niczym nie świadczy — rzekł Biskupski. — Mógłby być w jakiś sposób wymuszony.

— Mimo to, jeśli wolno wtrącić — rzekł Skrobot — osobiście wykluczyłbym Malewicza. Z trzech powodów. Musiałby skończyć szkołę aktorską, żeby tak zagrać rolę porzuconego starszego człowieka. Po drugie — jego sytuacja materialna oraz perspektywy rozwojowe firmy tylko ostatniego idiotę mogłyby skłonić do podjęcia takiego ryzyka, i po trzecie — gdyby chciał się aasekurować, to zameldowałby się u nas wcześniej. To bardziej przemawiałoby na jego korzyść niż w ostatniej chwili.

— W zasadzie mnie przekonałeś, choć pierwszy z argumentów jest do obalenia. Nie takie samorodne talenty aktorskie zdarzało mi się spotkać. A co do ostatniego, to przeholował z zabójstwem taksówkarza i to go spłoszyło. W ten sposób właśnie dochodzimy do drugiego wątku naszego dochodzenia, do wypadku na szosie. Przypadek wykluczony, prawda?

— Oczywiście — odpowiedzieli niemal chórem.

— No więc właśnie. Co skłoniło ów „mózg”, ktokolwiek by nim był, do posunięcia się do mokrej roboty? Czyżby ów nieszczęsny anons w gazecie o rzekomym rozpoznaniu jednego z bandziorów przez Kwaśniewskiego? Przecież uciekając z jego domu musieli się dobrze rozglądać i z pewnością na tej ulicy nikomu nie pokazałoby twarzy. Musimy znaleźć na te pytania odpowiedzi. No i do końca wyjaśnić stronę techniczną wypadków, a przede wszystkim odnaleźć ów samochód. Meldunku o kradzieży nie było? — zwrócił się do Sołnowicza.

— Nie. Ani z firm państwowych, ani od prywaciarzy. Mnie zainteresowały przede wszystkim te odpryski lakieru, ich nietypowe barwy -żółta i czerwona. Samochodów żółtych jest w mieście sporo, ale skąd ta czerwień? Myślę, że w ten sposób maluje swoje wozy „Łączność”. Moi chłopcy przebadali wszystkie tamtejsze, żuki i nysy. Na żadnym z nich nie ma ani śladów wgnieceń, ani świeżego zamalowania odprysków. Ale w dalszym ciągu obserwujemy wszystkie żółte pojazdy, które mają na przodzie jakiś czerwony element, zderzak, osłonę chłodnicy itp.

— Poza tym — wtrącił Skrobot — przed naradą uzgodniliśmy z kapitanem Sołonowiczem najbardziej prawdopodobną wersję wypadku. Według szkicu sporządzonego przez kolegów ze Służby Ruchu, miejsce kraksy nastąpiło pomiędzy wjazdem a wyjazdem z parkingu położonego po lewej stronie szosy, jadąc w kierunku N. Zabójca, bo tak go trzeba nazwać, oczekuje na taksówkę Kwaśniewskiego w jakiejś odległości od tego miejsca, ukryty w jednej z przecinek czy drózek leśnych. Gdy warszawa go mija, wyjeżdża i cyrkuluje tak, żeby go wyprzedzić właśnie tam. Zatrzymuje go i mówi na przykład, że ma uszkodzone lewe światło postojowe...

— Raczej — wtrącił Sołonowicz — że żarówka źle kontaktuje, bo przerywa w czasie jazdy.

— Słusznie, referujcie dalej, kapitanie, to wasza branża.

— Wówczas taksówkarz wysiada. Ogląda tył samochodu, widzi palące się światło, więc próbuje rozbijać tył wozu, żeby sprawdzić, czy będą przerwy w dopływie prądu. Oczywiście nie zwraca uwagi na odjeżdżającą półciężarówkę. Tamten zaś, minawszy taryfę, skręca na parking i wyjeżdża z drugiej strony, będąc znów za warszawą. Ma szczęście, bo akurat z obu stron nic nie jedzie, więc z możliwie największą szybkością, na jaką pozwala niewielka odległość do rozpędzenia się, uderza w taksówkarza. Omija leżące ciało i zwiewa do N. Boi się jednak rozwinąć z góry dużą szybkość, więc też nadjeżdżający potem Przewala mógł na wzniesieniu dostrzec jego tylne światła.

— To dość logiczne stwierdził Biskupski.— Wybrał takie miejsce, gdzie nie potrzebował się cofać, co mogłoby wzbudzić podejrzenie taksówkarza.

— A dla upewnienia się, proponowałbym, obywatelu pułkowniku, przeszukać dokładnie skraj lasu w kierunku Piasków, po obu stronach szosy, na odcinku, powiedzmy, jakichś pięciuset metrów, czy w miejscach, w których mógłby zatrzymać się samochód, nic zachowały się jakieś ślady. Nie myślę, rzecz jasna, o śladach opon, ale jakieś niedopałki papierosów, papier po kanapce czy coś podobnego. Oczywiście, w takiej odległości od drogi, żeby dobrze widać było przejeżdżające pojazdy.

— Słusznie. Spróbować można. Uruchomię naszych chłopaków z ZOMO. Już oni spenetrują każdy metr kwadratowy ewentualnego miejsca postoju. Wynikałoby z tego, że zabójca nic znał Kwaśniewskiego z widzenia?

— Niekoniecznie. Było ciemno.

— No dobrze, jaki dalszy tok postępowania, Skrobot?

— Mam pewną koncepcję, ale wolałbym przedstawić ją pułkownikowi jutro. Muszę najpierw sprawdzić pewną rzecz. Może przy okazji uda mi się wyeliminować z listy podejrzanych Malewicza.

— Nie bądź taki „tajemniczy James”. Szczegóły, jak chcesz, zostaw sobie do jutra, ale teraz zreferuj, choćby w ogólnym zarysie.

— Dotychczas cały czas szliśmy śladem Dreckiej, który mami nas niczym błędny ogień na bagnach i jak dotąd nie doprowadził do żadnych konkretnych. Chcę spróbować z innej beczki. Zadałem sobie mianowicie pytanie: jaką wspólną cechę mają lekarz, taksówkarz i przedsiębiorca budowlany? Posiadanie pieniędzy,

to pewne. Ale takich, a nawet z większą forszą, jest wielu. Poza tym, znalazłem tylko jedną rzecz wspólną: wszyscy chcieli nabyć samochód wyższej klasy. Ale o tym, jak już pułkownik pozwolił, jutro, bardziej szczegółowo.

— Cóż zrobić. Znam cię nie od dziś, Skrobot, i wiem, że coś tam wykombinowałeś, a że jesteś przesądny jak wiejska baba, więc boisz się zapeszyć. A pewnie i inne jeszcze karty chowasz w rękawie. No dobrze. Zatem spotykamy się jutro, poruczniku Erlich, a wam, towarzysze, dziękuję.

— Jeśli można prosić, to nic przed czternastą.

— Dobrze.

* * *

Następny dzień rozpoczął kapitan Skrobot od wtajemniczenia Erlicba w swoje plany. Kiedy dochodziła dziewiąta, sięgnął po słuchawkę telefonu, a po wykręceniu numeru włączył magnetofon. Po kilku sygnałach odezwał się głos:

— Malewicz, słucham.

— Dzień dobry panu. Mówi kapitan Skrobot z komendy.

— Dzień dobry.

— Podczas ostatniej naszej rozmowy powiedział pan, że na ogłoszenie w gazecie o zamianie samochodu nie nadeszła żadna oferta. Czy jest pan tego pewien?

— Oczywiście.

— A może pani Anna odebrała jakiś telefon w tej sprawie i nie powiadomiła pana?

— A dlaczego miałyby to ukrywać?

— Może po prostu zapomniała.

— Nie, ona pamiętała o najmniejszych nawet drobiazgach, jeśli chodzi o gospodarstwo domowe, a co dopiero mówić o takiej w końcu dość istotnej sprawie.

— Czy może pan przypomnieć mi treść ogłoszenia?

— Nie wiem, czy zapamiętałem je dokładnie słowo w słowo, ale chyba tak. „Zamienię wartburga w dobrym stanie, rok produkcji 1970, na samochód wyższej klasy. Wysokość dopłaty — do uzgodnienia”.

— Tak, dziękuję panu. To na razie byłoby wszystko. Nie wybiera się pan w żadną dalszą podróż?

— Na razie nie.

— Gdyby pan wyjeżdżał, to proszę nas o tym powiadomić.

— Dobrze.

— Dziękuję i do widzenia.

Po zakończonej rozmowie sprawdził jakość nagrania. Potem rzekł do Erlicha:

— Bądź uprzejmy i zamów mi samochód na cały dzień, no, do czternastej, jak przyrzekłem staremu. Ja muszę jeszcze odbyć dwie rozmowy.

Doktora Wiślickiego kapitan w szpitalu nie zastał, bo okazało się, że wczoraj zwichnął nogę i pozostał w domu. Zadzwoił więc tam i zapowiedział swoją wizytę. Kwaśniewski natomiast był i przyrzekł czekać w Piaskach na kapitana „aż do imentu”, jak się wyraził. Wobec tego przewinął taśmę i przełożył kasetę do magnetofonu przenośnego, który zabrał z sobą udając się czekającym już samochodem na Klonową, do mieszkania doktorostwa.

Po powitaniach pani Ewa Wiślicka zaprowadziła Skrobotę do gabinetu męża, który już tam na niego czekał.

— Dzień dobry, kapitanie. Przepraszam, że nie wstaję, ale ta noga dokucza bardzo. Niby nic groźnego, a dokuczliwe.

— Jak to się stało?

— Zwyczajnie, myłem samochód i pośliznąłem się.

— Ja właśnie w sprawie samochodu. Podczas przesłuchania żona wspomniała, że chciałby pan zamienić wóz. Jak pan się do tego zabrał?

— Najpierw chciałem pojechać do Warszawy na giełdę, sprzedać swego fiata, żeby kupić nowy, być może poprzez Peweks. Ale znajomi odradzili mi. Mój wóz nie jest wprawdzie starej daty, ale, prawdę mówiąc, nie bardzo dbałem o niego, bo nie mam na to czasu i nie bardzo się znam. Nie jestem rasowym samochodziarzem, tylko zwykłym użytkownikiem. Więc i ceny nie osiągnąłbym dobrej. Mówiono mi, że u nas, na prowincji, można sprzedać korzystniej. Dałem więc ogłoszenie do gazety.

— Kiedy i jakiej treści?

— To było gdzieś na początku miesiąca, bodaj około trzynastego. A treść: Sprzedam fiata 125p, rok produkcji 1976 i numer telefonu."

— Czy były jakieś oferty?

— Owszem, jedna. Ale człowiek umówił się i nie zgłosił w terminie. Widać trafił na coś lepszego.

— Był tutaj?

— Nic, umawiał się telefonicznie z żoną, bo ja byłem tego popołudnia w szpitalu.

— Czy mógłby pan doktor, wobec tego; poprosić na chwilę małżonkę?

— Już, oczywiście, Ewuniu! Pozwól!

Pani Wiślicka stanęła w drzwiach gabinetu.

— Słucham?

— Czy pamięta pani tę rozmowę telefoniczną z amatorem kupna waszego samochodu?

— Pamiętam. Nie wiem, czy w tej chwili potrafiłabym zrekonstruować dokładnie jej treść, ale sens — na pewno.

— Spróbujmy zatem. Odezwał się telefon, i...

— Upewnił się, czy to my dawaliśmy ogłoszenie o sprzedaży, więc powiedziałam, że tak. Na to on, że byłby zainteresowany i czy jest mąż. Odpowiedziałam, że przeważnie po południu może go zastać, ale dziś wyjątkowo musiał udać się do szpitala. Więc ten mężczyzna powiedział, że właściwie to jemu się trafia oka-

zja kupna prawie nowego volvo, ale gość chce całą należność w dolarach, a on ich nie ma, a że samochód jest mu bardzo potrzebny, więc zdecydowałby się na fiata. Odparłam mu na to, że my również myślimy o kupnie czegoś lepszego. Więc może w sprawie tego volvo doszliby z mężem do porozumienia. Potem zapytał jeszcze, kiedy może zadzwonić do męża. Więc ja mu na to, że lepiej niech zostawi swój numer, a Adam się z nim skontaktuje. Mówił, że nie ma telefonu, no to poprosiłam, żeby zadzwonił choćby jutro. Tak, to by było chyba wszystko.

— A nie zapytał o cenę fiata?

— Nie.

— Czy pani ma dobrą pamięć słuchową?

— O tak — odpowiedział za żonę doktor Wiślicki — świetną, w przeciwieństwie do mnie.

— Proszę więc posłuchać.

Kapitan wyjął magnetofon kasetowy i po chwili manipulowania przy przełącznikach w pokoju rozległ się głos:

„Nie, ona pamiętała o najmniejszych nawet drobiazgach, jeśli chodzi o gospodarstwo domowe, a co dopiero mówić o takiej, w końcu dość istotnej sprawie”.

Moment przewinięcia taśmy dalej na szybkich obrotach : „Treść ogłoszenia? Nie wiem, czy zapamiętałem dokładnie, słowo w słowo, ale chyba tak: ^Zamienię wartburga w dobrym stanie, rok produkcji 1970, na samochód wyższej klasy.

— Wsluchiwała się pani dobrze? Czy to ten mężczyzna według pani telefonował wówczas?

— Skąd. Zupełnie inny głos, ani cienia podobieństwa. Tamten był jakiś taki bardziej głuchy, może nosowy. Ten jest czysty, o jasnym brzmieniu. Ja mam słuch niezły.

— No to dziękuję bardzo. To byłoby wszystko.

— A może pan kapitan napije się kawy albo herbaty?

— Nie, dziękuję. Trochę się spieszę. Innym razem chętnie skorzystam. Do widzenia i przepraszam za najście.

Skrobot wyszedł z willi Wiślickich, wsiadł do samochodu i polecił kierowcy wziąć kurs na Piaski. W drodze myśli i „myślątka” kotłowały mu się niczym przysłowiowe kłębowisko zmij.

„Cholera, może Szeryf ma rzeczywiście rację — pomyślał. — W końcu rozmówcę można podstawić. Byle kogo. Ot, zwykła koleżeńska prośba: «Zadzwoń za mnie, stary, bo facet zna mój głos, a masz mówić tak i tak. Potem wypijemy połówkę*. Ale z drugiej strony wtedy zeznałby, że też miał telefon, i że też facetowi chodziło o «ziclono». No” tak, ale przecież on ich posiadanie zasygnalizował w anonsie, więc kontrahent nic musiał sprawdzać. Tylko czemu nic zgłosił się wcześniej? Czy inni też będą milczeli? Bzdura. Nie wszyscy muszą ukrywać posiadanie dolarów. Więc skąd u sprytnego faceta takie założenie? Nie, to musi być chyba jakaś inna wersja. Anna Zębowska? Dwa plus jeden równa się ile? Trzy? Chyba nie, cztery, pięć, czy jeszcze więcej? Zobaczymy, co powie Kwaśniewski.”

* * *

Wątpliwości kapitana pogłębiłyby się, gdyby wiedział, jakie pismo studiuje w tym czasie jego zwierzchnik wespół z porucznikiem Erlichem. Gdy mu z sekretariatu doniesiono ów list, to po przeczytaniu natychmiast zadzwonił do Skrobota. Ten jednak był już w tym czasie u Wiślickich, więc Biskupski wezwał porucznika, jako że uznał sprawę za pilną. Nawet bardzo pilną, mimo że do anonimów nie zwykł przywiązywać wagi. A list był anonimem. Najbardziej sztamkowym, wrednym anonimem. Na zeszytowej kartce papieru w kratkę, drukowanymi literami było napisane czerwonym flamastrem:

„Na pewno panowie sprawdzili, co robi! Malewicz w dniu napadu na lekarza. Jeśli mówił, że był w domu, to kłamie, bo widziałem, jak wieczór wychodził. Spytajcie jego żony, czy nie tak było.

Sąsiad”.

Przy słowie „widziałem” litera „E” była zakreślona kilkakrotnie grubą kreską, spod której przebijało pojedyncze „A”. Słowem, nie inaczej, tylko początkowe „A” zostało następnie przerobione na „E”.

— I co ty na to, poruczniku?

— Miejsce nadania?

— Widoczne. Urząd Pocztowy nr 3.

— Czyli na dworcu.

— Tak. I co ty na to?

— Nie wiem, czy kapitan przepytывał Malewicza na tę okoliczność. Sądzę, że tak. Ale raczej wygląda mi to na „wpuszczanie nas w maliny”.. Celowo ktoś chce zwrócić naszą uwagę na Malewicza, niejako podsunąć go nam.

— No dobrze — przerwał Szeryf.— ale ten ktoś jest jako tako zorientowany w sprawie...

— ... i to wcale nieźle. Wie, że Malewicz jest w to zamieszany, choć ten na pewno przed nikim się nie zwierzał ze swych kłopotów.

— A poza tym pewnie zwróciłeś uwagę, że jest to raczej kobieta, która podszywa się pod mężczyznę.

— Ta przerobiona litera? To mogło być celowe. Żeby z kolei podsunąć nam Drecką. A zatem też o niej wie.

— Albo pisane w pośpiechu. Ale cóż to za „sąsiad” pilnie śledzący dom Malewicza, który nie wie, że ten od pewnego czasu jest samotny?

— To również mogłoby być celowe, bo wiadomo mu, że jej w tej chwili nie możemy o nic zapytać.

— Tak czy owak. trzeba czekać na Skrobota i zdecydować dalej, co z tyra fantem robić.

Rozmowę z taksówkarzem, który zgodnie z przyrzeczeniem czekał na kapitana, Skrobol rozpoczął nic od pytania, a od stwierdzenia:

— Coś mi się zdaje, panie Kwaśniewski, że w sprawie tego samochodu, który miał pan kupić, to powiedział pan nam niezupełnie prawdę.

Kwaśniewski nie potrafił ukryć zmieszania, które ujawniło się w postaci lekkich wypieków.

— Kiedy właściwie miał pan dostać przydział na tego fiata?

— Termin niby miałem na pierwszy kwartał przyszłego roku, ale wie pan, jak to jest z tymi terminami w „Polmozbycte”.

— Niech no pan się przyzna, z ręką na sercu, dał pan ogłoszenie do gazety, że chce pan kupić wóz?

— Jak Boga kocham, nie, panie kapitanie. —W tym momencie głos taksówkarza brzmiał zupełnie szczerze. — To było zupełnie inaczej. Ja sam przeczytałem ogłoszenie.

— Jakie? Gdzie?

— W naszym „Echu”, w rubryce „sprzedaż”. Brzmiało ono tak: „Z powodu wyjazdu pilnie sprzedam fiata 12Sp do remontu z silnikiem Diesla”.

— I był numer telefonu?

— Właśnie że nie. „Oferty z adresem i ewentualnym numerem telefonu kierować pod numer no jakiś tam numer w biurze ogłoszeń.

— Ma pan może tę gazetę?

— A gdzież tam, dawno poszła na rozpałkę. Zresztą po co była mi ta gazeta, jak napisałem tam z pytaniem o cerę, rok produkcji no i facet się zgłosił na telefon.

— Pan odbierał?

— Ja. Akurat przypadkiem byłem w domu, jak zadzwonił.

— Co powiedział?

— Zaczęliśmy się targować o cenę. Ten truposz, karoseria i podwozie znaczy, z siedemdziesiątego roku. A że, mówi, miał blaszanekę, to właściwie trzeba by dać nową karoserię. Ale silnik z mercedesa, zupełnie nowy, więc chciał 150 tysięcy. Powiedziałem, że muszę zobaczyć. Bo wiesz pan, jak to jest. Ma się tych paru kumpli w warsztatach, to jakby dobrze odklepał, dał nowy lakier, tapicerkę, to pewnie by pojeździł i na tym dobre parę lat. A dla mnie silnik ropniak, to interes. Przy tych cenach paliwa!

—No dobrze, panie Kwaśniewski, ale dlaczego pan od razu nam o tym nie powiedział?

— No bo o samochód toście specjalnie nie pytali. A po drugie, to trochę wstyd mnie było, bo zbijałem faceta.

—:W jaki sposób?

— Widzi pan kapitan, on chciał najpierw całą sumę w dolarach. Mówi, że wyjeżdża z Polski, chyba na stałe, i cóż mu po naszych złotychkach. Czy mam, pyta. Odpowiedziałem, że trochę się znajdzie, ale całą sumę, żeby nie wiem po jak dogodnym kursie, to mowy nie ma. Zresztą najpierw muszę zobaczyć samochód.

— Oczywiście tych dolarów pan nie miał?

— Nie, ale myślałem, że od teściów trochę odkupię, bo mają rodzinę w Ameryce, która czasem coś im przyśle. No i z własnej córki skóry nie zedrą.

— Kiedy to było?

— A jakieś trzy dni przed tym napadem na moją kobitę.

— I nie skojarzył pan sobie tych dwóch rzeczy: wybadania, czy ma pan obcą walutę, a potem rabunku?

— Z początku, to byłem tak skołowany, że nie kojarzyłem. Ale już po przesłuchaniu, to mi to zaświtało we łbie. Zwłaszcza, że facet miał za trzy — cztery dni przyjechać do Piasków tym wozem i nie zjawił się. Ale myślę sobie, co wam będę głowę zawracał. Przecież to i tak wszystko jedno.

— Okazuje się, że nie wszystko jedno. Trzeba było od razu o tym powiedzieć. A teraz niech pan posłucha, czy ten głos nic panu nie mówi.

Podobnie jak u Wiślickich, włączył magnetofon z wypowiedziami Malewicza.

Kwaśniewski, już po pierwszych zdaniach, zaczął przecząco kręcić głową.

— Nie, panie kapitanie, pierwszy raz faceta słyszę. Może ten mikrofon trochę zniekształca, ale tamten, z którym rozmawiałem, miał zupełnie inny głos.

Skrobot podziękował rozmówcy i szykował się już do wyjścia, kiedy taksówkarz jeszcze coś sobie przypomniał:

— Ale wie pan co, kapitanie, ten gość to tak się znał na samochodach, jak ja, nie przymierzając, na fis-harmonii. Zapytałem go, ot tak, dla wszystkiego, o kolor tego wozu, choć w zasadzie to mi ganz gali — obojętne. A on mówi, że taki niby ciemny beż, brudny piaskowy albo jasny brąz, coś podobnego. A przecież każdy samochodziarz wie, że ten kolor nazywa się fachowo „sahara”.

W drodze powrotnej znów miał kapitan Skrobot kilka spraw do przemyślenia. Tym razem nie osoba Malewicza zaprzętała jego uwagę, ale jedno stwierdzenie wypowiedziane przez Kwaśniewskiego

Kto wie — myślał — powiadają, że w powodzi wielu kłamstw, zawsze przestępcy wymknie się jakiś szczegół, który jest prawdziwy. Może tak było i tym razem? Trzeba to koniecznie sprawdzić.

— Tak to sprawa wygląda — mówił podpułkownik Biskupski po wysłuchaniu relacji Skrobot, kiedy o czternastej wraz z Erlichem zameldowali się u zastępcy komendanta. — Ale nierozpoznanie głosu Malewicza przez tych dwoje jeszcze go nie eliminuje. Mógł ktoś rozmawiać w jego imieniu.

— Chyba podstawiliby kumpla bardziej obeznanego w sprawach samochodowych — wtrącił Erlich.

— Też mi się tak wydaje — dodał Skrobot. — Poza tym Wiślicka, która jak twierdzi, ma słuch dobry, określiła głos rozmówcy jako przygłuszony albo nosowy. Tak może brzmieć, kiedy owinie się słuchawkę telefoniczną jakąś tkaniną. Dlatego nie powinniśmy wykluczyć udziału w aferze tej kobiety Malewicza — Anny... jak jej tani... Zębowskiej.

— Współdział? — spytał Biskupski.

— Albo nawet inspiracja. Stąd też jej zniknięcie.

— Mam pewniejszy dowód, że jest jakoś w to zamieszana. Otóż dziś od rana robiłem rundę po mieście z portretem pamięciowym Zębowskiej — rzekł Erlich. — Sąsiedzi Malewicza rozpoznali ją od razu. Niestety, w aptece, w której Malewiczowi zniknęła z oczu, nikt jej nie pamiętał. Na chybił trafił postanowiłem odwiedzić gadatliwą staruszkę — Zabięłową. Długo wpatrywała się w rysunek, zastanawiała się, wreszcie mówi, że niby podobna do Izy koleżanki, ale niezupełnie. Tamta, powiada, na pewno miała włosy krótkie, a

ta do ramion. Wobec tego udałem się do szkoły, do wychowawczynie Dicckiej. I znów potwierdziło się to samo.

— No cóż — skonkludował pułkownik — włosy można upinać różnie, nawet tak, że wydają się krótkie.

— To nam, mężczyznom, tak się wydaje. Ale baba babę... a co do tego anonima, to też mogłaby być robota pani Anny. Rzecz jasna, pytałem Malewicza, co robił w dniu napadu na dom lekarza. Twierdził, że tak jak zazwyczaj przebywał u siebie. Rozległ się brzęczyk wewnętrznego telefonu,

— Tak? — odezwał się Szeryf.

— Obywatelu pułkownika, w sekretariacie czeka dowódca oddziału ZOMO, porucznik Skurowicz.

— Proszę, niech wejdzie.

— Obywatelu pułkownika, porucznik Skurowicz...

— Dobra, dobra, siadajcie i mówcie, coście znaleźli.

— Poszukiwania prowadziliśmy od samego rana, zgodnie z rozkazem, po obu stronach szosy od miejsca wypadku w kierunku N. Chłopcy szukali bardzo dokładnie. Przecinek w lesie sporo i to takich ze zjazdami ze szlaku. W zasadzie na nic interesującego nie trafiliśmy. O ile to, oczywiście, nie jest jakimś śladem.

Porucznik wyjął z kieszeni pudełko i ostrożnie rozwinął bibułę. Znajdowały się tam trzy niedopałki papierosów. Brane widać bardzo ostrożnie, gdyż do najdłuższego z nich, długości około trzech centymetrów, przyklejony był jeszcze fragment wilgotnego liścia.

— Te pety leżały w promieniu, mniej więcej, półtora metra — rzekł do pochyłonych nad znaleziskiem oficerów — na leśnej dróżce, jakieś 300 metrów od miejsca wypadku, a w głąb lasu nie więcej niż 50. Śladów opon — wiele, widać często tamtędy jeżdżą traktory.

— Gatunek ten sam. Nawet na tym dłuższym widać jedną literę. Laboratorium zatrudniać nie trzeba — uradował się Erlich.

— Owszem, trzeba. I to chyba Komendy Głównej — rzekł Skrobot, wskazując na bordowe obrzeża końcówki dwóch krótszych niedopałków. — Tylko tam będą mogli ustalić firmę szminki.

— Więc nie był sam, łobuz! Więc z kim, z Drecką?

— Której zabrakło własnych papierosów, żeby palić extra mocne? Coś mi tu nie gra.

— A więc dalej musimy szukać naszego „Iksa”, tej zasadniczej niewiadomej. Miałeś dziś wyłożyć resztę kart, Skrobot. Referuj, co planujesz?

— Planuję, a właściwie proponuję, żebyśmy tego „Iksa” przestali szukać, ale zadziałali tak, żeby się do nas zgłosił sam.

I kapitan Jerzy Skrobot przez bite pół godziny wprowadzał zwierzchnika i podwładnego w szczegóły swojego planu. Odprawę zakończył Biskupski swoim „błogosławieństwem”:

— No to połamcie nogi. Odpowiednie pismo do Dyrekcji Poczty zaraz dostaniecie, a reszta to już od was, a trochę i od szczęścia zależy.

— Ufam w ludzką zachłanność, obywatelu pułkownika.

* * *

Anons w „Echu Południa” (rubryka „samochodowe”)

„Trabanta w dobrym stanie zamienię na nowego volkswagena lub audi. Telefon grzecznościowy 316-31 w godzinach 15-17”.

Po dwóch dniach od momentu narady Skrobot mówił do Erlicha przeglądając gazetę:

— To w zasadzie powinno wystarczyć.

— Dlaczego podałeś telefon z dodatkiem „grzecznościowy”?

— Po pierwsze — ta wersja wydaje mi się bardziej prawdopodobna, przy znanych kłopotach z założeniem telefonu, a po drugie ograniczymy sobie w ten sposób czas dyżurów. Kiedy zdążyłeś załatwić numer aparatu?

— Wczoraj, zaraz po spotkaniu u Szefera. Potem taksówką do drukarni i efekt masz przed sobą.

Efekt w postaci ogłoszenia był, ale nie było żadnej z niego korzyści podczas pierwszego dnia dyżuru. Po prostu nie było chętnego na trabanta. Minuty między trzecią a piątą wlokły się niemiłosiernie i nic.

— Nie bardzo rozumiem — zwierzał się porucznik Skrobotowi — w jaki sposób grupa przestępcza może dokonywać napadów w tak niewielkim skupisku ludzkim jak N., czy wręcz Piaski.

— W zasadzie są dwie możliwości. Albo wszyscy zapewniają sobie — obojętnie, razem czy oddzielnie — niepodważalne alibi, albo stosują krycie niemal idealne. Obie wersje są trudne, ale nie niemożliwe. Krycie u Zabiłowej widać dobre nie było, skoro zmienili metę.

— Z alibi też mieliby kłopoty.

— Najgorsze jest to, że nie potrafiliśmy ustalić, czy dysponują własnym pojazdem, czy „wypożyczają” go sobie na czas akcji, czy obchodzą się bez niego.

— Kradzież to ryzyko, nawet w formie „wypożyczenia” i zwrotu. Ale jeśli mają własny wóz, to na pewno miejscowy, bo „drogówka” twierdzi, że żaden obcy na dłużej się tu nic zatrzymał.

— Ale przecież zmiennik Kwaśniewskiego zginął przez najechanie samochód cml

— I to w dodatku furgonetką.

* * *

Następnego dnia dyżuru, za ledwie wskazówka doszła do 15.15, na biurku kapitana odezwał się „grzecznościowy” telefon,, którego numeru nie było w żadnym spisie.

Nie minęło 30 sekund jego rozmowy,, kiedy z sąsiedniego pokoju Erlich był już połączony z centralą telefoniczną.

Zapis magnetofonowy rozmowy telefonicznej kapitana Skrobota z odpowiadającym na ogłoszenie:

— Czy to 316-31?

— Tak.

— Ja w sprawie ogłoszenia. Pan dawał, prawda?

— Owszem, ja. Słucham.

— Mam chyba coś, co powinno pana zainteresować. To jest nowy volkswagen sprzed dwóch lat. Przebiegu kilometrów w tej chwili nie pamiętam.

— To nieistotne, rok produkcji się liczy.

— Oczywiście. Chcę go sprzedać, ponieważ wybieram się na dłuższy czas za granicę do pracy. Więc wywozić go nie opłaci mi się. A ponieważ, zanim wyjadę, przez jakiś jeszcze czas wóz mi potrzebny, więc wystarczyłby mi trabant, byle na chodzie.

— Do mojego jeszcze przez dwa sezony pan nie dopłaci.

— Tylko, widzi pan, w związku z tym wyjazdem złotówki mnie nie bardzo interesują — jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć?

— Myślę, że tak. Ale to nie na telefon. Możemy pogadać, jak się spotkamy.

— Jasne. Może pan mi dać swój adres?

— Oczywiście. Tylko widzi pan, do końca tego tygodnia wracam z terenu około dziewiątej wieczór. A w domu żona sama z małym dzieckiem, więc może w przyszłym?

— Dobrze, w poniedziałek, najdalej we wtorek. Gdzie to jest?

— W dzielnicy Ustronie. Za cmentarzem. Jan Skiba, Źródłowa 7.

— Mieszkanie?

— To taki mały, jednorodzinny domek, w ogrodzie. Między siedemnastą a dziewiętnastą, dobrze? A jak pana godność?

— Robert Filipowicz. W porządku, jesteśmy umówieni. Do zobaczenia,

* * *

Skrobot ocierał chustką spocone czoło, ale Erlich cały promieniał:

— Bez pudła, kapitanie. Chłopcy zadziałali, jak trzeba. Rozmowa była ze Spółdzielnią „Chemik”. Taki zakładnik kooperujący z „Polleną”

— W porządku. Myślę, że z samego rana uda mi się ustalić rozmówcę. Bo nawet jeśli jest centralka, to potem pewnie gdzieś przełączają. Czy na Ustroniu wszystko przygotowane?

— Tak jest. Koleżanka z Komendy Krakowskiej już się tam osiedliła. Bliskich sąsiadów brak. Ma nawet na magnetofonie nagrane kwilenie dziecka.

— Akcja bezpośrednia, to ostateczność, myślę, że zdejmemy ich wcześniej, ale zabezpieczyć się trzeba. Będę jutro potrzebował ludzi do inwigilacji swojego rozmówcy. A ty bierz taśmę i odwiedź Wiślicką i Kwaśniewskiego, czy to ten sam.

— Już jadę.

— Co dziś mamy, środę? No to do soboty mamy czas. Oni też muszą się upewnić co do tego „Skiby”. Nikt nas nie zdekonspiruje?

— Mowy nie ma. Najbliżsi sąsiedzi, to para starszków, których odwiedziłem i są przekonani, że już od miesiąca osiedliła się tam rodzina Skibów. Nawet szopa nadająca się na garaż jest w podwórzu.

— Drugi aparat pod tym numerem?

— Podłączony na Źródłowej.

— I jeszcze coś mi się po głowie kołacze... Czekaj, wiem. Już drugi raz słyszymy o wyjeździe za granicę. Pchnij Majewskiego do biura paszportowego, czy przypadkiem nie ma wniosku, albo nawet paszportu, na nazwisko Izabeli Dreckiej. A właściwie gdzie ona jest zameldowana na stałe?

— Albo u ciotki, albo u matki.

— Więc jeśli tu nic nie ma, to trzeba sprawdzić w Krakowie.

* * *

W piątek cały dzień padało. Zmierzch, jak przystało na koniec października, zapadł wczesnie. Ostatni mieszkańcy N., porządkujący groby swoich bliskich przed Świętem Zmarłych, opuścili cmentarz. Na końcowym przystanku „siedemnastki” wysiadło niewiele pasażerów. Ulicą Cmentarną, w stronę Źródłowej podążały tylko trzy osoby. W przodzie — czule obejmująca się para, a w pewnej odległości za nimi miody człowiek w kaszkiecie nasuniętym na oczy i z podniesionym kołnierzem. Szedł spokojnym, równym krokiem, ale tylko do momentu, kiedy z najbliższej przecznicy za cmentarzem nic ukazał się jakiś pan, z psem na smyczy. Wtedy zatoczył się, jakby miotany porywami wiatru, a z jego ust wydobyły się nieartykułowane dźwięki pijackiego gaworzenia. Na rogu Cmentarnej i Źródłowej rosły gęste chaszczki jakichś krzewów. Ale za zakrętem, w stronę samotnego domku nr 7, podążało już tylko dwóch mężczyzn równym i szybkim krokiem. Na tle zasłony jedyne oświetlone okna widzieli sylwetkę kobiety, która, jak się mogło wydawać, coś prasowała. Od drzwi rozległo się energiczne pukanie.

— Kto tam?

— Czy pani Skiba?

— Tak, o co chodzi?

— Proszę otworzyć. Mąż miał w pobliżu wypadek samochodowy. Trzeba natychmiast dzwonić na pogotowie.

— Ojej! Już, już otwieram.

Cofnęła się w kierunku oświetlonych drzwi kuchni. Do sieni szybko weszli dwaj mężczyźni, twarze po oczy mieli owiązane chustami. W ręku pierwszego błyszczało ostrze noża. Drugi miał w dłoni wycelowany w kobietę pistolet.

— Spokojnie. Gdzie dzieciak?

— Tam, w pokoju.

— Idź po małego — to do kolegi. — Chyba że powiesz nam, gdzie forsa, wtedy...

To co się zdarzyło w tym momencie, nie trwało nawet trzech sekund. Pierwszy z napastników miał założony klasyczny „krawat”, a z wykręconej ręki wypadł mu nóż w momencie, kiedy zaczynał charczeć. Drugi klęczał na podłodze, z ręką na plecach. Bez oporów dał sobie wyjąć z palców czarny przedmiot.

— Ładnie, panowie, bardzo ładnie — mówił Skrobot. — Popuście mu, sierżancie, bo się udusi. No i co, Majewski? — zwrócił się do drugiego funkcjonariusza.

— Głupstwo, obywatelu kapitanie. Zwyczajna atrapa, z drzewa — podał Skrobotowi imitację pistoletu.

— Nawet niebrzydka robota, z bliska nie rozpoznasz. Uczyłeś się u stolarza, czy jak?

Obaj byli już skuci.

— Można wezwać samochody — zwrócił się do stojącego z tyłu Erlicha z krótkofalówką. A do zatrzymanych:

— Macie jakiś umówiony sygnał z Drecką? Potrząsnęli przecząco głowami.

— To niech jeden idzie po nią na róg. Tylko bez żadnych sztuczek, ulica i tak jest obstawiona. A po co ma panienka marznąć na dworze w taką pluchę.

* * *

Trzy dni później kapitan Skrobot wraz z porucznikiem Erlichem siedzieli w gabinecie zastępcy komendanta podpułkownika Biskupskiego, a od gorących kaw rozchodził się smakowity aromat;

— Mów dalej, Skrobot, mów — ponaglał Biskupski kapitana. — Zanim to wszystko dokładnie przeczytam — wskazał na teczkę z dokumentacją przeznaczoną dla prokuratora — to upłynie trochę czasu. A teraz chciałbym mieć syntetyczny obraz całości.

— Zatem, kiedy ustaliłem w Spółdzielni „Chemik”, że centralka przełączona jest na sekretariat, a nikt zdaniem portierki tego popołudnia z kierownictwa nie został po pracy dłużej, to poprosiłem prezesa o listę pracowników. Przeglądając ją od razu odnalazłem nasz tajemniczy „mózg”. Tylko imię się nie zgadzało. Oczywiście zapoznałem się z aktami personalnymi Grażyny Zębowskiej, a zdjęcie porównałem z portretem pamięciowym podyktowanym przez Malewicza. Rzeczywiście, podobieństwo uderzające. Różniła je tylko długość włosów. Okazało się potem, że w dniu, gdy telefonowano do mnie, inżynier Grażyna Zębowska pozostała nieco dłużej w laboratorium. A ono sąsiaduje z sekretariatem.

— Nie można jej było od razu zdjąć?

— Można było. Dowodów wystarczyłoby. Na co dzień pali extra mocne, używa też szminki Coty'ego — która została zidentyfikowana na niedopałkach znalezionych w lesie koło Piasków. A co najważniejsze, dyspozytor z „Chemika” zeznał, że dość często użyczał pani inżynier służbowej warszawy do wprawiania się w kierowaniu (miała sobie — jak twierdzi! — kupić niedługo samochód). Krytycznego dnia, gdy zginął Krupa, poprosiła go wyjątkowo o żuka, bo ma coś gdzieś przewieźć. Więc dowody były wystarczające, nawet gdyby próbowała wykazać swoje alibi. Ale chciałem mieć wszystkich; bo jak potem dotarłbym do trójki wykonawców? I tu zawiódł nasz wywiadowca, który Zębowską inwigilował. Ale naprawdę trudno go winić. Otóż skrzynka, nie tyle kontaktowa, co dyspozycyjna, mieściła się w budce telefonicznej koło poczty. . Kiedy pani inżynier weszła, pilnie śledził numer wykręcany przez nią. To był numer jej krawcowej — jak się potem okazało. Nie zwrócił przy tym uwagi, że gumą do żucia przykleja pod półeczką na książkę miłosny liścik do Dreckiej. No bo po co wchodzi się do budki, jak nie po to, żeby telefonować?

— Powiedziałeś to „miłosny” jakoś bez cudzysłowu?

— Bo chyba tu cudzysłów niepotrzebny.

— Zaczynj jednak wszystko od początku.

— Trudno mi będzie, pułkowniku, bo niby od czego?

— Wiedziałeś o niej wcześniej, co?

— Nie. Że to rodzona siostra Anny Zębowskiej nie mogłem wiedzieć, bo skąd? Ale, że coś nam się w logiczną całość nie układa, to było jasne. A uwagę moją zwróciły słowa pana pułkownika na jednej z naszych odpraw, że Zębowską może być jednocześnie i ofiarą, i współuczestniczką napadu. A to istotnie tak było. Trzeba jednak wrócić do „Adama i Ewy”. Muszę przy tym dodać, że niełatwo było skłonić Grażynę Zębowską do mówienia. Na początku, w ciągu dwóch dni, zacięła się w milczeniu nie odpowiadając w ogóle na moje pytania. Dopiero gdy przedstawiłem jej tzw. niezbite dowody: analizę śladów szminki na niedopalkach, zeznania dyspozytora i jej siostry Anny, zarządziłem konfrontację z byłą wychowawczynią Dreckiej, a głos na taśmie (która wprawdzie nie jest dowodem sądowym) rozpoznali zarówno Wiślicka, jak i Kwaśniewski, zaczęła mówić.

Grażyna i Anna były bliźniaczkami. Pierwsza z nich skończyła chemię na politechnice, druga nie skończyła, ale wyszła za męża. Jak się potem okazało — niefortunnie. Grażyna nie wyszła, bo miała inne zainteresowania seksualne, które nazwę swą wywodzą od greckiej wysepki Lesbos. Nigdy między siostrami stosunki nie układały się idealnie, zwłaszcza po zamążpójściu Anny, jako że wówczas przez krótki czas mieszkały w tym samym mieście. Grażyna wprost organicznie nie znosiła jej męża, być może, jak całego rodzaju męskiego. Z jej wypowiedzi można wnioskować, że czuła się jakby okradziona przez niego. Przed rokiem otrzymała tu pracę w spółdzielni „Chemik” i zamieszkała w lokalu służbowym, przy spółdzielni, a więc parę kilometrów od centrum. Nie wiedziała, że jej siostra bliźniaczka również tu się przeniosła, a ich drogi jakimś dziwnym trafem nigdy się nie zbiegły. Może to się wydać dziwne w tak małym mieście, ale to fakt. Po prostu obracały się w zupełnie różnych środowiskach, i choć każda z nich oddzielnie słyszała o posiadaniu sobowtóra, to żadna, jak twierdzą, nie kojarzyła sobie tego z bliźniaczą siostrą, przekonane, że dzieli je kilkaset kilometrów.

Tutaj, w N., poznała gdzieś Izę Drecką i zapalała do niej uczuciem, które Iza — zlakniona rodzinnego ciepła — zrozumiała z początku inaczej. Pod wpływem nowo poznanej przyjaciółki porzuciła szkołę i zamieszkała u niej. Grażyna bowiem przekonała Izę, że w Polsce nie ma dla nich żadnych perspektyw. Rozmarzyło się w dziewczęcej główce od tak cudnie brzmiących nazw, jak Miami Beach, Floryda, Hollywood. Tylko jak się tam dostać? Z pomocą przyszedł przypadek: Siedząc kiedyś w kawiarni, przy Rynku, w większym towarzystwie, dostrzegła swą siostrę w towarzystwie Malewicza. Gdy minął pierwszy szok (oczywiście od razu poznała Annę) spytała kogoś z długoletnich mieszkańców N. o partnera swej siostry, czyli „sobowtóra”, jak wyjaśniła zaszokowanemu tym podobieństwem towarzystwu. Dowiedziała się, że Malewicz, to jeden z bogatszych w tym mieście facetów, nadziany „zielonymi”, mający własne przedsiębiorstwo budowlane, a jej „sobowtór”, to kochanka Malewicza. Aż dziwne, mówiono, że dotąd jeździ tylko wartburgiem, ale podobno dał już ogłoszenie do gazety o zamianie samochodu.

Od tego dnia jeszcze bardziej skróciła włosy i zmieniła makijaż, by podobieństwo z siostrą było jak najmniejsze. A w głowie powoli rodził się plan zdobycia dolarów. W tym celu nawiązała z Anną kontakt telefoniczny, umawiając się na spotkanie, na które tamta, choć niechętnie, przystała.

— Dlaczego niechętnie? — przerwał pułkownik.

— Jako słabsza indywidualność zawsze obawiała się trochę Grażyny, a i tym razem podejrzewała, słusznie, jak się okazało, że nie siostrzane uczucia powodują jej bliźniaczką.

W jaki sposób, tego nie doszedłem, ale myślę, że śledztwo to wyjaśni, zdobyła duplikat klucza od willi Malewicza i wyłudziła od siostry wiadomość o skrytce, wraz z szyfrem otwierającym zamek. Może wykorzystywała swoją przewagę psychiczną nad Anną. może skusiła ją wspólną ucieczką, jak dotąd nie wiadomo.

Może zresztą miała jakiś „haczyk” z przeszłości Anny, by ją szantażować? W każdym razie dopięła swego. I tak pewnego dnia oznajmiła siostrze: „Wiesz, wtedy, jak poszłaś po Jacka do przedszkola, odwiedziłam waszą willę. Jak ci mówiłam, moje plany życiowe wymagają pewnej ilości gotówki w «twardej» walucie. Pożyczyłam sobie z Malewiczowej kasy jego dolarowe oszczędności, a także, żeby nie wzbudzać podejrzeń, część z tego, co miałaś na życie. Ale nie bój się, jak się dorobię na Zachodzie, to oddam z procentem”.

„Czy widział cię ktoś?” — wpadła w panikę Anna. „Och, nie myśl, że jestem taka głupia. Ubrałam się wychodząc w twój ortalionowy płaszcz, a kaptur naciągnęłam na głowę, bo akurat trochę mżyło. Wszyscy będą przekonani, że to ty wychodziłaś z domu. Przecież jesteśmy do siebie podobne, nieprawdaż, mój skarbie?” Annę ogarnął popłoch:

„I cóż ja teraz zrobię, co mu powiem?”

— „Powiedz, że nieznani osobnicy zagrozili ci porwaniem synka i musiałaś dać okup. A potem uciekaj, dokądkolwiek, choćby w nasze rodzinne strony. Malewicz nie zna tego adresu?”

— „Nie”.

— „Tym lepiej”.

— Czemu to zrobiła? — zdziwił się Biskupski.

— Żeby skierować podejrzania na Annę. Chciała nawet w tym celu niezwłocznie powiadomić Malewicza telefonicznie o stracie, ale go nie złapała, uznała więc za dobry sposób poinformowania siostry o swym wyczynie, gdyż to wiązało się z jej dalszymi planami.

— Nie rozumiem - przerwał Erlich.

— To proste. Projektując dalsze napady (już wtedy plan ten chyba miała przygotowany) konieczne było, aby tylko jedna z nich znajdowała się w mieście, konkretnie ona — Grażyna, jako Anna.

— Nie obawiała się, że Malewicz złoży doniesienie o zniknięciu i Anny, i pieniędzy?

— Nie, gdyż zmusiła Annę do pozostawienia wiadomego listu. A co do pieniędzy, to była spokojna, wiedząc, że pochodzą one z podejrzanego źródła.

Anna zwlekała z ucieczką, ale zdopingowała ją notatka w gazecie o napadzie na Wiślickich. Od razu domyśliła się, że to sprawka Grażyny. W razie jakiegoś niepowodzenia, to ją jako Grażynę może ktoś rozpoznać. Co się wówczas stanie z Jackiem? Kto się nim zaopiekuje, zanim się sprawa wyjaśni? Wobec tego skorzystała z rady i zniknęła. Liczyła, jak twierdzi w zeznaniach, że Grażyna wcześniej czy później wpadnie albo zrealizuje swój plan i wyjedzie za granicę. W tym wypadku planowała pójść na milicję i wyjaśnić wszystko, ale nie chciała bezpośrednio przyczynić się do aresztowania siostry, mimo krzywdy, jakiej od niej doznała. Nie wiedziała, że siostrzyczka tak zorganizowała sobie szajkę, że pozostaje absolutnie w jej cieniu.

Zaimprovizowany przez siebie sposób na szantaż uznała za dobry. Któraż matka zaryzykuje porwanie swego dziecka, choćby nie wiadomo za jaką cenę? Metodę wynajdywania ewentualnych ofiar podsunął jej Malewicz, poprzez swoje ogłoszenie w gazecie. Doszła do wniosku, że inni samochodziarze ogłaszający się lub odpowiadający na ogłoszenia też dysponują walutą wymienną. I to nie gdzieś na kontaktach dewizowych, czy w bankowych sejfach, tylko zwyczajnie, w domu. To było warunkiem koniecznym w tej grze.

Pozostało już tylko zorganizować „aparatus wykonawczy”. Iza Drecka, mieszkając w internacie, miała kontakty z różną młodzieżą, choć sama udzielała się mało. Do jej koleżanek przychodzili również chłopcy z marginesu. Dwóch takich, po poprawczaku, zapamiętała i wskazała Grażynie. Nazywają się Józef Derkacz i

Jerzy Kociewski. Derkacz pochodzi z rozbitej rodziny, jak się to kiedyś mówiło, z lumpen proletariatu. Ojciec recydywista, matka alkoholiczka. Kociewski zaś to dziecię inteligentkie, ale wykolejone od trzynastego roku życia. Obaj zgodzili się chętnie na łatwy zarobek. Warunki były takie: dla nich połowa doli, ale tylko naszej waluty, inne pieniądze, tudzież precjoza - dla szefa. Bo tu ciekawostka: zarówno Derkacz, jak i Kociewski (obaj nawiasem mówiąc spoza miasta N.) nie mieli pojęcia, że ich szefem jest kobieta. Konspiracja obowiązywała ścisła. Na czas akcji (oczywiście w liczbie mnogiej), którą Grażyna zakładała na miesiąc, półtora najwyżej — żadnych knajp, wypadów. Utrzymywać ich w ryzach Izie, jako „nadzorczym”, udawało się dzięki niewielkim dawkom narkotyków, które dostarczała pani inżynier, bo pracując w spółdzielczym laboratorium miała je pod ręką.

— Nie pomyślała — przerwał wywód Biskupski — o kradzieży większej ich partii przy wyjeździe, na handel?

— Też ją o to spytałem. Bała się. Wie, że kontrole celne są na to uczulone. Dużo czytała o tresowanych psach i tym podobnych metodach. Z walutą i złotem miałyby kłopot tylko na jednej granicy, na naszej. A podróż zaplanowana była w kilku etapach, z których pierwszy — ciotka w Anglii.

I tak na pierwszy ogień poszli Wiśliccy. Jak wiadomo, po spenetrowaniu terenu przez Drecką, staranna reżyseria, przemyślana w szczegółach. Nie było już takich warunków w wypadku Kwaśniewskiego, który odpowiedział na ogłoszenie Zębowskiej. Co dalej — wiemy: rozczarowanie, bo tylko złote polskie.

— Czy wiedzieli, gdzie są przechowywane? — przerwał Biskupski.

— Nie, wystarczyło im tylko rozejrzeć się po mieszkaniu, żeby zrozumieć, że jedynym miejscem może być szafa, ewentualnie piec. Ale gdyby tam nie znaleźli, to z pewnością „przycisnęliby”, jak się wyraził Derkacz, Kwaśniewską.

— A w jaki sposób Drecka przekazywała zdobyty łup?

— W bardzo prosty: poprzez skrytkę pocztową, do której oczywiście były dwa kluczyki. Ale jedźmy dalej.

Tymczasem zmieniono melinę, bo ciotka Zabiellowa okazała się zbyt dociekliwa — czemu to dwaj młodzieńcy poszukujący pracy zrywaczy jabłek w pełni sezonu siedzą całymi dniami w domu. Ponadto musiała ich kiedyś zameldować. Jeden z nich miał znajomego. Kolejarz — emeryt, pijaczyna, a co ważniejsze — z własnym domkiem w pobliżu dworca. Odnajął swoje dwa pokoje, sam zadowolając się kuchnią i dwoma butelkami czystej dziennie — rano i wieczór. Stąd Drecka rozplynęła nam się na dworcu, bo nigdzie niejechała, tylko przeszła się kilkadziesiąt metrów, wzdłuż torów.

Grażyna Zębowska początkowo liczyła na pewnego rodzaju bezkarność, zakładając, że ofiary nie doniosą milicji o napadach, gdyż w większości będą to posiadacze walorów pochodzących z nieuczciwych źródeł. Tak jak to miało miejsce w przypadku Malewicza. Tu się istotnie nie zawiodła. Że to jednak nie może być regułą, spostrzegła po nieudanym skoku na Kwaśniewskich, bo taksówkarz ją okłamał. W konsekwencji wiedziała, że on będzie wszystko mówił, bo nie ma co ukrywać.

— A ten anons w gazecie o rozpoznaniu? — zaniepokoił się Erlich.

— Nie. Wiedziała, że chłopcy nie skłamali mówiąc, że nikt ich nie wdział, gdyż tym razem „szef” Robert (jak kazała Izie im się nazywać) samochodem, z daleka nadzorował akcję. Co innego: obawa, że Kwaśniewski rozpozna Drecką. Podejrzewała też, że mogą to zrobić inni taksówkarze widząc, jak baczenie oglądają każdą dziewczynę. Strach i o nią, i o to, że ona sypnie. Wiedziała, że to robi. Stąd decyzja szaleńcza, ale zdeterminowana: zlikwidować Kwaśniewskiego. Częste korzystanie ze spółdzielczych samochodów

poprzez dobre układy z dyspozytorem (czego się nie zrobi dla pani inżynier, która ma zapas czystego alkoholu?) ułatwiały zadanie. Sam przebieg zabójstwa był dokładnie taki, jak założyliśmy. To zupełny przypadek, iż akurat tego żuka wypożyczyła spółdzielnia z „Łączności” z braku własnego taboru półciężarówek. No i teraz nie było już odwrotu. Trzeba uciekać z ukochaną Izą, choćby na kraj świata i bez pieniędzy, albo prawie bez, a nam na ewentualne pożarcie pozostawić tych chłopców. Ale zdarza się okazja wymarzona. Klient jak ulał — nasze ogłoszenie. Nie skorzystać? No i reszta wiadoma.

— No dobrze — przerwał Szeryf — a ten jej timbre głosu? Nikt nie rozpoznał kobiety przez telefon?

— Z natury ma głos niski, prawie męski. A w dodatku mówiła przez chusteczkę do nosa. No i jeszcze jedno. Domyślała się instynktownie, że śledztwo trwa nadal i na pewno do czegoś doprowadzi. Wysłała więc wiadomy anonim. Mógł równie dobrze obciążyć Malewicza, jak wskazywać na współudział Anny. Ta z siostr miała znacznie mniej skrupułów.

— Cóż, koledzy, sukces niewątpliwie wart jest obłania — rzekł pułkownik sięgając do szafy po butelkę koniaku, co zdarzało mu się niezwykle rzadko.

— I jeszcze taka ciekawostka — dodał Skrobot. — Zębowska wymyśliła dla przyjaciółki szyfr telefoniczny, bo Drecka dzwoniła do niej z przydworcowej budki. Ale to bardziej dla podbudowania dziewczęcej fantazji, niż z potrzeby konspiracji, a mianowicie: Czy to 21-311, mam do sprzedania psa...

— No, ale najpierw wypijmy. Wasze zdrowie. A swoją drogą niezbadane są kolejne etapy emancypacji — zastanowił się Szeryf wznosząc w górę kieliszek.

— Prawda, Jasiu, myśmy jeszcze raz wypili bruderszaftu. Na imię mi Jerzy.

— A mnie Jan.

Pułkownik Biskupski popatrzył na swych podwładnych zdziwionym wzrokiem, ale wypił.